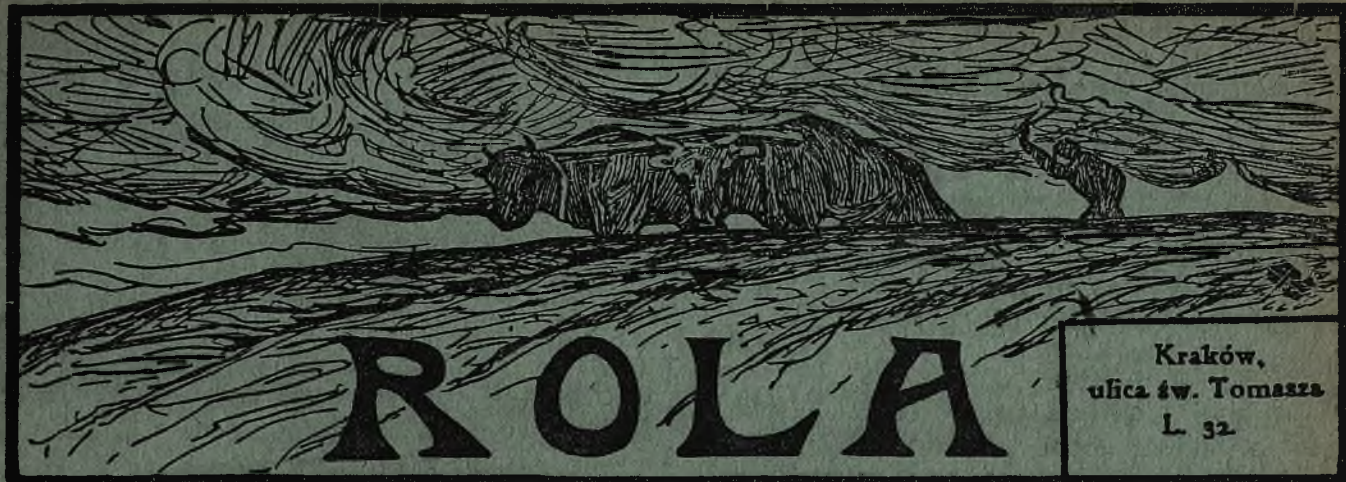
Numer 4. Należ. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 25 Stycznia 1931



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Tłumoczek.

W pociągu jechał niedowiarek naprzeciw kapucyna, który miał obok siebie większy tłumoczek. Niedowiarek chcąc dokuczyć zakonnikowi, uśmiechnął się drwiąco i rzekł: „Chciałbym mieć to, co ojciec ma w tym tłumoczku. Zapewne tłuste szynki, smaczne serki, białe bułeczki...“ — Kapucyn na to odpowiedział: „A ja chciałbym mieć to, co pan ma w swojej głowie“. — „A to dlaczego?“ — zapytał zmieszany niedowiarek. — Kapucyn wtedy rzekł: „Bobyśmy obydwaj nic nie mieli!“



Grzeczności.

— Panie Jakóbie gracie jak król Dawid, tylko nie tak pięknie. A wy panie Józefie, mówicie jak król Salomon, tylko nie tak mądrze.

Ksiądz Janczy Maciej.

Ksiądz, nazwiskiem Janczy stawał za świadka w sądzie. Sędzia pyta: Imię i nazwisko? — Ksiądz: Janczy Maciej. — Jakto? — woła sędzia niecierpliwiąc się. — Jan czy Maciej? — Ledwo mu ksiądz wytłumaczył.

Kłopot z żołądkiem.

— Jak się ma pani mąż?

— Tak sobie. Ma kłopot z żołądkiem.

— Czy nie może jeść?

— Owszem, może, teraz wielka drożyzna, a on ma straszny apetyt.



Nieporozumienie.

Na progu domu siedzi chłopczyk. Nadchodzi jakiś pan i zapytuje go:

— Czy tatuś w domu?

— W domu.

Pan puka, dzwoni, ale nikt nie otwiera.

— Co to takiego, że nie otwierają?

— Bo ja wiem?

— Mówiłeś przecież, że tatuś jest w domu.

— No tak, w domu — ale mój tatuś wcale tu nie mieszka.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Rocznik „Roli“ z roku 1927

zawierający 19 powieści: „Tajemnica na dworze królewskim“, „Podróż naokoło świata, „Dziwy w świecie“, „Przygody Filipa“, „W szpitalnej celi“, „Dziwne sny“, „Zwiastunka śmierci“, „Wśród puszcz i stepów“, „Matka królów“, „Wawrzek Dybczak“, „Walkowa dola“, „Zemsta Judyty“, „Ucieczka Archanioła“, „Pomszczona zbrodnia“, „Staw św. Małgorzaty“, „Było to pod Jeną...“, „Abraham Pinkt i Mateusz Sikora“, „Baśń o Sobotniej Górze“, „Wskrzeszenie Łazarza“.

Wiele z powyższych powieści jest ozdobionych pięknemi ilustracjami.

W każdym numerze opowiadanie Maćka Bzdury, nadto wiele powiastek, gawęd, legend humoresek. Prócz tego kronika krajowa i zagraniczna ilustrowana. Na okładkach humor

Całość rocznika obejmuje 1.040 stron a kosztuje wraz z przesyłką pocztową tylko 9 zł. 50 gr.

Do nabycia w Administracji „Roli“.

Numer 4. Rok XIV. Kraków, dnia 25 stycznia 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Do broni, bracia, do broni!

Takie hasło rozbrzmiewało dawniej w narodzie polskim, gdy wróg zewnętrzny zbliżał się do granic naszej Ojczyzny. Tak, jak ongiś ojcowie nasi i my dziś powołani jesteśmy do broni, lecz do broni innej, duchowej. Wróg wiary i narodu atakuje i gubi dusze nasze przez złe pisma. Nietylko Europa ale świat cały stoi dziś w obliczu wroga, na którego sztandarach widnieje hasło: „Precz z Bogiem, precz z religją, precz z Kościołem, precz z miłością Ojczyzny, precz z prawdziwą oświatą i dobrobytem ludu!“ Broń zaś dzisiejszego wroga to wyzysk, kłamstwo, podstęp i obłuda a nazwa jego to: liberalno-masońsko-komunistyczno-bolszewicka prasa wszechświatowa.

Społeczeństwo polskie musi bacznie zwracać swą uwagę w stronę wroga, który coprawda nie opanował jeszcze naszej Ojczyzny, ale zaczyna tu i tam na dobre działać i to co dzisiaj dzieje się w sąsiedztwie, to u nas stanie się może jutro, jeżeli nie staniemy do szeregu ramię w ramię i nie powstrzymamy natarcia wroga.

Mówiono przedtem powszechnie i zupełnie nawet słusznie, że pieniądz rządzi światem. Dziś do powyższego zdania należy dodać drugie, że: papier czyli gazeta rządzi światem, gdyż piórem i drukiem stacza się wszystkie nowoczesne boje. Żyjemy w epoce gazet. Gazeta dzisiejsza to pokarm mas całych, sąd przez nią wydany, to „Credo“ miljonów. Prasa dzisiejsza zmieniła swój temat, bo go zmienić musiała, pozostawiła jednak nietknięte zasady nieograniczonej swej wolności. Bo i czegóż nie znajdziemy w dzisiejszej prasie? Dziś bywają wyśmiane w gazetach nietylko prawa i przepisy Kościoła, państwo i jego nienaruszalne zasady, uczeni i ich nauka, ale nawet i najświętsze uczucie ludzkości.

Tego jednak już wolnością prasy nazwać nie można, tylko swawolą, nie jest to uświadomieniem ludu, lecz bałamuceniem go, nie jest to praca nad podniesieniem dobrobytu, tylko cofanie się wstecz. Jakież więc są owoce pracy dzisiejszej prasy? O, wiele złych owoców zła prasa wydała. Bezbożność, bezład, bałamucenie ludu i ogłupianie go, to owoce dzisiejszej złej prasy.

Pierwszą złą i przewrotną zasadą dzisiejszej prasy wszechświatowej to nieograniczona wolność prasy i krytykowanie wszystkiego i wszystkich. Druga zgubna i fałszywa zasada a właściwie klęska dzisiejszej prasy, to brak fachowo wykształconych dziennikarzy. Do wszelkiego innego zawodu wymagane są przygotowania i egzamina, tylko jedno z najważniejszych stanowisk dostać można bez egzaminów. Stanowiskiem tem, to stanowisko prasy. Trzecia zła zasada wolnej prasy to wywlekanie na światło dzienne wszelakich spraw prywatnych i moralnych brudów. Czwarta zasada wolnej prasy, to wysługiwanie się gazety różnym osobom i stowarzyszeniom prywatnym. Pożytek dla ogółu z takiej prasy jeden — t. j. strata czasu na czytanie i grosza na prenumeratę.

W Polsce, Bogu dzięki, oprócz nielicznych stosunkowo pism przewrotnych są i dobre dla każdego stanu gazety. Dobrą gazetą jest ta, która stoi twardo i bezwzględnie na straży naszych skarbów katolickich i narodowych. Gazety złej, przewrotnej nie powinniśmy nawet brać do ręki, lecz rzucać wprost do pieca lub śmietnika. Obowiązkiem naszym jest chwycić za broń w obronie naszej wiary, mowy i naszych obyczajów, stworzyć silną i potężną prasę katolicką, w odpowiedzi prasie liberalno-bolszewickiej. A więc „do broni!“ Zwartym szeregiem uderzmy na wroga dzisiejszych czasów: złą i przewrotną prasę i nie pozwólmy żadną miarą szerzyć się jej zgubnym zasadom w Ojczyźnie naszej. *Piotr Wenc.*

Cecora.

Powieść historyczna.

— Toś brat mój! — zawołał kniaź, potężną dłoń kładąc na ramieniu rotmistrza.

— Widząc, że ludzie was opuszczają, potrzeba było usłuchać hetmana — odezwał się, milczący dotąd, starosta kamieniecki.

— Posłuchaj raz, to i raz drugi musiałbyś to zrobić.

— A waszmość co uczynił? — zapytał Plichta.

— Z pięciuset ludu, którzy zostali przy mnie, rzuciłem się na krociowe zastępy Skinder Baszy. Korecki się nie poddaje!...

— Wiwat kniaź! — huknął Plichta, podnosząc kielich do góry.

— Wiwat wolności nasze! — zawołał pan Samuel.

— I prawa Rzeczypospolitej — Zamoyski dodał, uderzając kolejno w puhary.

— Długo wasza mość przesiedziałeś w onej strasznej wieży nad Bosforem? — zapytał Plichta, gdy uciszyło się nieco.

— Bóg to wie! jam czasu nie liczył.

— A jak wydostaliście się stamtąd i przydybaliście znów do nas?...

— Żonie mej, poczciwej Kachnie Mohylance winienem wyzwolenie swoje.

— Co? co? jak?... — odezwały się tu i tam głosy.

— Jak? ano, tak było, jeżeliście ciekawi. Gdy nechrest mnie zmógł i do Stambułu w podarku sułtanowi dał, ten dowiedziawszy się kim jestem, w ten sens odezwał się do mnie: „Słysz Korecki! wysiekłeś ty moich poddostatkiem, że sam Ałłach musiał się zdziwić, gdy taka kupa synaczków jego przed nim stanęła. Powinienem cię obwiesić, a później w Bosforze utopić, gdzie pławię swoje kochanki niewierne. Ale żal mi ciebie, boś chwat — i jeśli się namyślisz i na naszą wiarę przystaniesz, to trójbuńczucznym baszą cię zrobię i jedną z cór swoich ci oddam“. A ja na to: „Dziękuję waszej miłości za łaskę, ale swojej się Kachny nie wyrzeknę za żadną cenę“. Na co się sułtan poruszył nieco i tak prawi: „Do kogo ty to mówisz?“ A ja: „Do waszej sułtańskiej mości“. On na to: „Namyśl się dopókim dobry, bo każę cię ze skóry obedrzeć, wysmarować miodem i w pasiece mojej postawić“. „Jużem się namyślił wasza miłość“. „I jak?“ „Każ do pasieki prowadzić!“ Sułtan poczerwieniał jak ćwikła w occie i nuż mi przestawiać piękności swojej wiary i przyjemności pośmiertne, których nasza święta religja dać nie może. Chciałem go w gębę zamalować, alem się zatrzymał, jenom coś paskudnego powiedział, bo zaraz kazał swoim eunuchom związać mnie i w Jedykuli na dno wieży rzucić.

— To dziwno, że waszmość pana nie uśmiercił odrazu — odezwał się Plichta.

— Miał jeszcze nadzieję, psi syn, że ulegnę i na szlachetną krew chrześcijańską szczekać poczne.

— Praw jegomość dalej, bo ciekawość nas rozpiera — odezwało się głosów kilka ze stron różnych.

— Zapakowali mnie na samo dno jamy i głodem morzyć poczęli. Codziennie przychodził do mnie stary eunuch sułtana, Ihajda zwany i pytał: „Wyrzekniesz się swej wiary?“ A ja mu: „Ruszaj kundlu!“ — „Przyjmiesz łaskę sułtana?...“ A ja mu: „Jak mu wszystkie dziewki popaskudzę w seraju!“ — „Pomnij, Korecki, że jedwabny sznur już plotą dla ciebie“. Ja go w pysk — i zacząłem się modlić do Panienki Poczajowskiej, by mnie z tych terminów wyrwała. Ale jakem się później dowiedział, to rozmowa moja z eunuchem, szczególniej jej zakończenie, podobały się padyszachowi. „Wy, tacy synowie! łapybyście lizali, a on rżnie w gęby. Wezyrem go zrobię, niech jeno Mahometa za ojca chrzestnego sobie weźmie“. Na drugi dzień wyciągnęli mnie z wieży, ubrali przystojnie, dali jadła i napoju do syta i Greka Ajpułę w posługi do mnie przysłali. Myślę sobie: widzi mi się, że wisieć będę. Zacząłem się przygotowywać na śmierć, ale zrobiłem ślub, że jeżeli cudem jakim wydostanę się z tej dziury, to wiarę katolicką przyjmę i do Loretta pojadę, by tam wotum spełnić. Mija tak tydzień i drugi, przychodzi znów eunuch od sułtana (ale nie ten, z którym rozmawiałem ostatnim razem) i przez kraty już do mnie: „Przyjmiesz wiarę naszą?...“ — „Jutro“ — ja na to. Przychodzi jutro: „Przyjmiesz wiarę naszą?...“ — „Jutro!“ — odpowiadam. Tak było przez dwie niedziele. A Ajpuło codziennie przynosił mi wino w kielichu, które sumiennie wypijałem. Razu pewnego piję, aż tu mnie coś w ozór kłuje. Patrzę: pilnik i powróz na łokci pięćdziesiąt...

— Dobrym waszmość kieliszkiem popijałeś — przerwał Plichta.

— Niech zczeznę, jeżeli prawdy nie mówię.

— Praw waszmość dalej, praw dalej — wołano.

— Biorę tedy Ajpułę na spytki — i co waszmość państwo powiecie? To Kachna moja przekupiła Greczyna i taki mi podarunek przysłała. Zacząłem go ściskać, aż wrzeszczał, bo mu wszystkie kości chrupały, ale odpowiedział, co i jak było i że straż spita o bożym świecie już nie wie, a łódź na Bosforze czeka na mnie. Piłowałem do północy; potem po sznurze na dół z Ajpułą na karku mi siedzącym, do łodzi i przed siebie! Załoga była liczna, z Wołochów samych złożona, a po tatarsku przybrana. O wszystko moja Kachna postarała się — daj jej Panie Boże tron hospodarski, a mnie panowanie nad nim.

Buchnął śmiech.

— Czekajte panowe hromada, nie tu koniec Korecjady. Płyniemy Bosforem, noc widna, fale tańczą dokoła, aż niedaleko pałacu sułtana spotykamy łódź i kilku ze straży nadwornej. „Kogo wieziecie?...“ — pytam. — „Ihajdę“ — odpowiadają. — „Dokąd?“ — „Na dno Bosforu“. — „Za co?“ — „Że Koreckiego nie nawrócił, a w pysk wziął“. „A topcie go!“ — zawołałem — i nimem się opatrzył, już dał się słyszeć plusk i worek z moim eunuchem na dno poszedł.

— Toś go waszmość gracko na tamten świat wyprawił!... — zakrzyknął Plichta...

— Ot co znaczy *absolutum dominium* zwrócił się kniaź do Zamoyskiego.

— Dalej praw waszmość, bo zaczniecie przytykać sobie i końca się nie dowiemy — wołano.

— Przez Dardanele, gdzie to okaźne osły się rodzą, przebyliśmy szczęśliwie i na gładkie wypłynęliśmy morze. Spotkała nas burza, ale do Matki Boskiej Częstochowskiej jużem się modlił i ona kazała falom mnie nie tykać. Niedaleko Sycylji dognał nas okręt turecki i zagarnąć chciał. Trwoga była niemała; przerażony Ajpuło radził moim Wołyniakom, by mnie wydać i w ten sens się wykupić. Już zaczęli zdrajcy głos podnosić, jakem ich tak wszystkich wymalował, że na tamtym świecie pamiętać będą. Tymczasem okręt wraży nas zahaczył i spuścił drabinę. My do niej i na Turka. Nie upłynęło trzech ojczenaszów, jak wyrzezaliśmy bisurmanów, a tym, którzy modlili się o łaskę, pozwoliłem, by się sami

potopili. Na komendę skoczyli wszyscy, z wielką radością ryb, którym, jak słyszałem, mięso niechrzceńców smakuje.

— Nie uwierzyłbym, gdyby nie waszmość to nam prawił! — zawołał Plichta.

— Mam od Ojca świętego potwierdzenie spraw onych, które pod przysięgą na świętej spowiedzi zeznałem.

— To kniaź i do Rzymu dotarłeś?

— A stamtąd do Loretto, gdzie noc całą w domu Przenajświętszej Panienki krzyżem przeleżałem.

— Szeroko o tem we Włoszech gadają — wtrącił Denhoff. — Signor Korekki ma mir tam niemały.

Denhoff niedawno powrócił z Rzymu, dokąd jeździł razem z posły króla Zygmunta.

Po skończonej a prawdziwej opowieści podniosły się okrzyki i gwar niemały. Podniósł się nawet wojewoda kijowski i trącając swoim kielichem o kielich kniazia, rzekł:

— Takiego rycerza zdrowie nie żal wypić!...

Zaczęli się żegnać i wychodzić. Korecki przeprowadzał każdego do progu namiotu; ostatnio wychodzącego Plichtę zatrzymał i rzekł:

— Podobałeś mi się waszmość — daj gębę!...

Przeszedł z nim za próg.

— Śpi brać nasza — rzekł — jeno w namiocie hetmańskim światło jeszcze smyrga.

Podali sobie ręce.

— Vale, Plichta!

— Vale, Korecki!

Plichta podybał do swej kwatery, a kniaź raz jeszcze spojrzawszy na światło migające w namiocie hetmana, mruknął:

— Żebym na ciebie nie pryskał — tego nie powiem.

Żółkiewski nie spał.

Objechawszy obozowisko, powrócił do swego namiotu i chodząc, odmawiał pacierze.

Na stołku drewnianym, niedaleko wyjścia, siedział Jan Kurzański, domownik i stary przyjaciel hetmana i miód popijał garncówką. Twarz miał jowialną, oczy śmiejące się, wąsy jak wiecheć długie, a białe jak mleko. Na środku głowy przezierała łysina, zlekka białym puchem przesypana, z czego wnosił Kurzański, że włosy mu odrastają. Wzrostu był średniego, tuszy dobrej — nos nieco za czerwony i obrzękły, świadczył o nieomijaniu kielicha; wogóle jednak pan Kurzański wyglądał czerstwo, ale dusiła go czasami astma. Raz wraz wąsy umoczone w miodzie ocierał, cmokał i przymrużając lewe oko, prawem patrzył na hetmana, jakby chciał wiedzieć, czy prędko z Panem Bogiem skończy, a z nim rozmawiać pocznie.

Żółkiewski szeptał półgłosem: Pater noster i liczył ziarnka różańca z bukszpanowego wyrobione drzewa. Postaci wyniosłej był, a choć siedemdziesiąt dwa lat wieku liczył, trzymał się równo i chód miał pewny. Włos siwy, przycięty niemal przy samej skórze, okrywał czaszkę podłużną nieco, broda strzyżona okalała twarz suchą, o rysach wyrazistych, na której dotąd znać było ślady piękności dawnej. Oczy jasno-błękitne świeciły męstwem i determinacją, wyraz całej postawy znamionował męża wielkiej siły, duszy i serca.

Krokiem powolnym, szepcąc cicho modlitwy, chodził wzdłuż namiotu. Silnym ogniem płonący kaganek stał na trójnogu, płomień się chwiał lekko i na wzorzystym kobiercu, którym namiot był wysłany, rysował długi, czarny cień hetmańskiej postaci, w pół przełamując się, gdy hetman zbliżał się do ścian namiotu, wydłużając, gdy się oddalał.

Po chwili Żółkiewski pacierz skończył, naprzeciw Kurzańskiego stanął i rzekł z uśmiechem:

— Smakuje miodek hetmański, Jasiu?

— Niczego! — odparł zapytany, ocierając wąsy. — Nie spodziewałem się, że obozowa piwnica waszej miłości taki specjał ma.

— Krew stara potrzebuje czasami rozgrzewki — rzekł hetman.

— Onej jednak niech wasza miłość nie używa zanadto.

— A to czemu?

— We łbie kręci i choć sercu wigoru dodaje, pedałom odejmuje moc wszelką. Wasza miłość mówisz stojący, a ja siedzący słucham, co jest nieuszanowaniem, a wstać nijak nie mogę.

— Nie fatyguj się waszmość, obrazy żadnej tu niema — odparł Żółkiewski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak stary kowal śmierć i djabła wykiwał.

(Ciąg dalszy).

Śmierć nie dała sobie tego kilka razy powtarzać. Poszła do sadu, upatrzyła gruszę, która najsmaczniejsze rodziła owoce, wylazła na drzewo i w dalszym ciągu zaczęła konsumować Boże dary. Kowal, widząc, że śmierć już na drzewie siedzi, zaczął z niej drwić.

— Jedz, jedz! tylko ostrożnie, żeby ci nie brakło, bo posiedzisz sobie tam dłużej. Ja mam taką moc, że kto na moje drzewo wyjdzie, już z niego dobrowolnie nie zejdzie, choćby tam miał siedzieć do końca świata, chyba jak mu sam każę.

Śmierć uważała to tylko za pogróżki. Kiedy już dobrze sobie podjadła i chciała zejść, przekonała się, że to, co kowal mówił, jest prawdą. Śmierć, widząc, że złością nic nie wskóra, udała się w pokorę. Nie pomogły żadne prośby. Kowal był nieubłagany. Nic nie znaczyły zapewnienia śmierci, że jak jej pozwoli zejść, to tylko innych ludzi będzie zabierać a jego nie. Wobec takiego obrotu sprawy nie pozostało jej nic innego, jak siedzieć na drzewie dalej i czekać miłosierdzia Bożego, bo od ludzi napróżnoby się go spodziewała, gdyż każdy z ludzi cieszył się, że nie będzie umierał.

Kiedy wszystkie gruszki zjadła, z głodu poobgryzała liście, gałązki, korę, tak, że tylko nagie konary sterczały ku niebu, jakby wołały o pomstę. Skoro i tego brakło, zaczęła z głodu zjadać swoje własne ciało, tak, że w krótkim czasie bielił się na drzewie tylko kościsty szkielet tej niedawno jeszcze dumnej śmierci. (Od tego podobno czasu śmierć jest koścista.) Wiatr tylko pomiatał nią na wszystkie strony, wygrywając na jej nagich kościstych piszczelach smutną, ponurą, piekielną muzykę. Wyciągała kościste ramiona do ludzi, do świata, błagała litości, ale ludzie i świat był głuchy na jej prośby.

Tymczasem na świecie źle się działo. Ludzie rodzili się, ale nie umierali. Świat ogromny nie mógł ich pomieścić. Zabrakło ziemi, zabrakło jedzenia dla nich, sytuacja stawała się beznadziejną. Silniejsi zabijali słabszych i pożerali. Mordy, grabieże i rabunki były na porządku dziennym. Kowal, widząc, co się na świecie dzieje, sam brzemieniem starości przy-

gnieciony, chciał już umrzeć. Był pewnym, że jak śmierć zejdzie z drzewa, to bez litości pierwszego go zabierze. Jakież było jego zdziwienie, gdy śmierć, zeszedłszy na ziemię, ani na niego nie spojrzała, tylko pędem do piekła pobiegła, aby tam wspólnie z djabłami powziąć plan zemsty na brutalnego kowala.

Śmierć po przybyciu do piekła przedstawiła wszystko od początku, jak się rzecz miała. Djabli z zapartym oddechem słuchali jej wywodów, ze złości zgrzytali zębami, że na świecie znalazł się człowiek, który wobec majestatu śmierci tak daleko posunął się w swej hardości i zuchwałości. Natychmiast zwołano zgromadzenie wszystkich djabłów, na którem uchwalono jednogłośnie wysłać jednego najsprytniejszego djabła na ziemię, aby ten kowala porwał do piekła. A męki i straszne katusze, jakie ten śmiałek ma przejść za swój zbrodniczy występek, obmyśli się później.

Jak postanowili tak zrobili. Kowal znów po ucieczce śmierci, przeczuwając coś złego, poszedł do



Porwawszy wór, przystawił go do dziurki od klucza...

chaty, pozamykał drzwi i okna, pozatykał dziury od kluczy we drzwiach, zostawiwszy tylko jedną wolną, pewny, że jego życzenie znów się spełni, usiadł w izbie przy stole. Wtem doszedł do jego nosa niemiły swąd, jakby siarki, wyjrzał przez okno i zobaczył, jak djabeł biegnie wprost do jego chaty. Kowal, nie tracąc głowy, porwał stary duży skórzany wór, który dawniej służył mu za miech kowalski, przystawił prędko do dziurki od klucza i czeka. Koło domu dały się słyszeć szybkie kroki djabła, który prześlizgnąwszy się jak wąż przez dziurkę, bęc do worka. Zanim zorjentował się w sytuacji, worek był już silnie zawiązany. Djabłu zrobiło się ciepło. Poczuł, że go gdzieś niosą. Kowal zaniósł djabła do kuźni, położył na kowadle, wziął najcięższy swój młot i zaczął nim, co tylko miał siły, młócić djabła. Prał długo i bez litości. Djabeł wył w worku z bólu, wił się jak wąż, piszczał, syczał, zaklinał kowala na wszystkie świętości, żeby już dał spokój tej robocie, ale im djabeł bardziej skomlał, bardziej wył, kowal bił jeszcze mocniej. Z djabła pozostały tylko kawałeczki. Wreszcie przestał bić. Rozwiązał worek i wysypał na ziemię szczątki djabelskiego ścierwa. W tej chwili stała się dziwna rzecz. Djabeł jakąś czartowską mocą zrósł się i jakby skropiony wodą święconą uciekł do piekła. Nie chciał więcej takich ludzi spotkać na świecie jak kowal.

(Dokończenie nastąpi).

Sztuka zdobywania mężczyzn.

Sztuka rozmawiania z mężczyzną należy do najtrudniejszych. Wiele pięknych kobiet, które mogły spodziewać się najpiękniejszych owoców po pierwszem wrażeniu, jakie na mężczyźnie uczyniły, traci w rozmowie czar swój i urok.

Nie mów zbyt wiele, abyś nie miała okazji powiedzieć zbyt wiele głupstw. Mężczyzna wyręczy cię w tem doskonale — będzie pletł głupstwa w przekonaniu, że czyni wiekopomne odkrycia. Kobieta, która przysłuchuje się słowom mężczyzny, nabywa w jego oczach wartości. Jeśli postarasz się przytem zrobić myślący wyraz twarzy, zadasz mu kilka sprytnie postawionych pytań uzupełniających, tak, aby sądził, iż istotnie jego tematy bardzo cię zajmują, powie wszystkim, że jesteś wyjątkowo inteligentna i dobrze wychowana. Skoro natomiast rozpuścisz swój własny języczek i nie pozwolisz mu przyjść do słowa, choćby same perły z twych ust padały — nie uzna twej wartości/i powie, że jesteś gadatliwa, nudna i nie do zniesienia.

Spraw, by mężczyzna jaknajwięcej mówił nie o tobie, lecz o sobie samym. Skoro ma chętkę prawienia komplimentów, niechaj lepiej skieruje je do siebie. On święcie wierzy w to, co dobrego mówi o sobie, a jeśli i tego skrzętnie słuchasz i jeszcze mu potakujesz, zdobywasz sobie jego sympatję i serce niezwykle szybko. Niechaj opowiada o swojej przeszłości, o wszystkich pięknych czynach, jakie stały się jego udziałem, o zwycięstwach nad wrogami, o bohaterstwach, o kobietach, których serca podbił, o naukach, które poznał, o sławie, którą zdobył, o znakomitych przyjaciołach, którzy go tyleż szanują, co i miłują... Wszystko to, choćbyś w cichości ducha śmiała się z tych kłamstw i bredni, przyjmij za dobrą monetę...

Zdarzają się jednak mężczyźni skromni i małomówni, których trudno wyciągnąć na słówka. Musisz wtedy próbować: każdy człowiek ma swoją słabostkę. Jeśli dotkniesz słabego miejsca, odezwie się rychło i rozgada. Trzeba tylko umieć szukać.

Z takim mężczyzną, którego badasz, postępuj oględnie. Ośmielaj go przez zgrabnie podane pochwały. Niechaj sądzi, że oto nareszcie znalazł w tobie istotę, której tak długo i napróżno poszukiwał. Mężczyzna milczący nie jest wcale trudniejszy do zdobycia, aniżeli gaduła. Tylko metoda jest inna...

Powiedziano już, iż nie należy mówić w obecności mężczyzny wiele. Również nie należy mówić mądrze. Kobieta, która stara się mówić mądrze i inteligentnie, prawdopodobnie więcej jeszcze powie głupstw i nieścisłości, więcej popełni straszliwych błędów i śmiesznych omyłek, aniżeli niewiasta, która mówi wiele ale bezpretensjonalnie. Mężczyźni zresztą nie lubią kobiet przemądrzałych. Jeśli mężczyzna sam jest wykształcony, oczywiście wiedza kobiety przeszkadza mu w górowaniu nad nią, co razi niemile jego ambicję. Jeśli jest nieukiem, albo przynajmniej nie opanował danej dziedziny we właściwy sposób, wówczas wiedza kobiety wydaje mu się niepotrzebnym balastem i prawdziwie go gniewa. On chce przejść nad waszą wiedzą do porządku. Pozwólcie mu na to. Przecież chcecie mu się podobać jako kobiety, a nie jako sawantki...

. Mężczyzna, rzecz prosta lubi inteligencję kobiety. Kobieta inteligentna zawsze lepiej zrozumie mężczyznę i dlatego łatwiej odpowiada jego celom. O ko-

bietę głupią najsprytniejsze plany męskie, najwymyślniejsze pułapki rozbiją się bezskutecznie tylko dlatego, że w bezgranicznej swej głupocie, taka kobieta nie rozumie wogóle, czego chcą od niej. Inteligencja kobiet musi jednak być ograniczona. Najlepiej, jeśli udasz, że jest to inteligencja powierzchowna, przyrodzona. Jeśli powiesz kilka zgrabnych ogólników, albo zabawisz go anegdotą. Nigdy się nie wysilaj — mów prosto i z wdziękiem. Zamiast pięknego słówka, użyj pięknego uśmiechu. *J. Widen.*

Pochód na Sybir.



Ostatnim zrywem narodu polskiego pod zaborem rosyjskim przed uzyskaniem naszej niepodległości po zakończeniu wielkiej wojny światowej było powstanie, jakie wybuchło w nocy z 22 na 23 stycznia 1863 r., a które trwało cały rok 1863. Powodami tego powstania były: klęska Rosji w wojnie krymskiej, usiłowania wszystkich narodów w Europie do utworzenia państw narodowych, do czego cesarz francuski Napoleon III przyrzekał swą pomoc, oraz nadanie przez cara Aleksandra II pewnych praw Polakom, które to prawa niebawem zostały ukrócone.

Kiedy zaczęto urządzać obchody pamiątek i rocznic narodowych w r. 1861, wojsko 27 lutego dało ognia, wskutek czego pięciu niewinnych padło. Wzburzenie narodu było ogromne. Car powołał wtedy do rządu margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, który zamierzał przeprowadzić wiele dobrych zmian i dążył do ułożenia zgodnego stosunku Polski z Rosją, ale ani naród jego, ani on narodu nie pojął i pozyskać sobie nie umiał. Rozwiązał zaraz na początku swoich rządów Towarzystwo rolnicze, na którego czele stał Andrzej Zamoyski i tem zraził sobie obywatelstwo.

Powtórzyły się niebawem manifestacje i śpiewy a mimo Wielopolskiego padły nowe strzały 8 kwietnia 1861 r. Nie pomogło już założenie polskiej Szkoły głównej, t. j. Uniwersytetu w Warszawie, ani obsadzanie urzędów Polakami. Spisek przeciw rządowi szerzył się szybko, kierowany przez tajny rząd narodowy. Cała młodzież należała do niego. Wielopolski nakazał więc w roku 1863 brankę, czyli rekrutację, ale popisowi wyszli z Warszawy i rozpoczęli powstanie.

Było to przedsięwzięcie niebaczne; podsunęła je beznadziejna rozpacz, uczucia rozgorączkowane, które nie bywają dobrymi doradcami. Wkrótce napełniły się lasy powstańcami, spieszyli oni ze wszystkich stron kraju, niosąc życie i mienie Ojczyźnie. Powstanie objęło całe Królestwo, Litwę, a nawet Wołyń i Podole. Ale sił większych nie było. Prowadzono wojnę podjazdową, partyzancką t. j. małymi oddziałami, które ścigały regularne wojska rosyjskie. Bitew stoczono wiele, niektóre zwycięskie, ale wynik nie mógł być innym, jak był, t. j. klęską.

Wysiłkiem bohaterskim utrzymano powstanie cały rok. Spodziewano się, że Napoleon III dotrzyma przyrzeczeń, ale oprócz mów, wygłaszanych w interesie Polski nie zdziałał nic więcej. A tymczasem Prusy zawarły z Rosją umowę przeciw Polsce, a nikt się za nią nie ujął. Powstanie zostało zgnębione, nastąpiły straszne prześladowania, o jakich dzieje całego świata nie wspominają. Kto mógł, uciekał zagranicę kto tego nie uczynił, wpadał w ręce posiepaków carskich i ginął na miejscu, lub szedł w da-

lekie krainy syberyjskie, aby tam przykuty do taczek pracować ciężko, póki go śmierć od tej męczarni nie wyswobodziła. Wielu nie doszło nawet do miejsca przeznaczenia; padali po drodze z przemęczenia, od mrozu lub głodu.

Taki straszny pochód na Sybir widzimy właśnie na naszym obrazku. Oto grupa obrońców naszej nieszczęśliwej Ojczyzny, stoi szeregiem na zaśnieżonej ziemi. Mróz na polu trzaskający, a oni nie wszyscy dostatecznie ubrani, a wszyscy wycieńczeni głodem i trudami dalekiego pochodu. Niejednego źre straszna gorączka i reszty sił pozbawia. Oto już jakiś biedaczyna, nie zważając, że mogą go spotkać bolesne razy ze strony konwojującego ich sołdata rosyjskiego, osunął się na ziemię, oparł głowę o kolana towarzysza i czeka śmierci wybawicielki. Z piersi katowanych w czasie tego pochodu nie wyrwał się jęk żaden; jak byli bohaterami w czasie krwawej walki, tak pozostali nimi i podczas straszniejszego jeszcze pochodu. A trzeba tu jeszcze dodać, że przeważną część zesłańców stanowili ludzie zamożni, przeważnie ziemianie, inteligencja, którzy nietylko życie własne składali na ołtarzu Ojczyzny, ale tracili zarazem swe mienie, a co zatem pójść musiało, szczęście i spokój swych rodzin. Moskale zabierali ich mienie bez najmniejszego odszkodowania; majątki ich oddawali tym, którzy się najwięcej znęcali nad narodem polskim. I do dziś dnia jeszcze niejeden dwór polski znajduje się w rękach potomków gnębicieli naszych praojców.

Miłość matki.

(Obrazek z życia zwierzęcego.)

Była noc, jesienna, dżdżysta i smutna. Po pustych polach wiatr gonił ostatnie strącone z drzew liście i zawodząc jękliwie, wyprawiał z niemi szalone harce.

Drogą rozmiękłą, wysadzaną długą linją słupów kilometrowych, a ciągnącą się z pod stóp oświetlonego gdzieś miasta — szła, a raczej wlokła się ociężale zmęczona wyżlica, zwana „Druchną", a należąca do jednego z zamożniejszych gospodarzy.

Druchna, idąc z opuszczonym łbem, nie szła próżno, lecz w lekko zaciśniętych zębach niosła małe szczeniątko, które od czasu do czasu, układała z pieczołowitością najlepszej matki, na suchej gdzieś miedzy, gdzie nakarmiwszy je i wypocząwszy chwilę, brała je z powrotem ostrożnie w zęby i wolnym, coraz wolniejszym krokiem, mierzyła przestrzeń tej nieskończonej drogi.

Nocy tej bowiem, poraz już trzeci, tam i z powrotem, przechodziła Druchna błotnisty gościniec, niosąc po jednemu do swej psiej budy, pozostawione przez nielitościwych ludzi w dalekiem gdzieś mieście, troje ukochanych jej dzieci. Był to trud ponad siły słabego zwierzęcia, lecz miłość macierzyńska dodawała wytrwałości biednej wyżlicy do całonocnej ciężkiej wędrówki, jakiej nie podjęłaby się zapewne żadna, choćby najlepsza matka należąca do kulturalnego ludzkiego świata. Druchna snać kochała bardzo swe nowonarodzone dzieci, skoro nie zawahała się w noc ciemną, opuścić swej budy i domu, którego wiernie strzegła i biec po rozmiękłem błocie do odległego miasta, gdzie rzucone na pastwę losu pozostały jej małe szczenięta.

Wlokąc się uciążliwą drogą, rozmyślała Druchna, po swojemu, o ludzkiej dobroci i o ludzkiem okrucieństwie i czuła w swem biednem psiem sercu wzbierający gorzki żal do swych chlebodawców, którzy nie zawahali się, za jej wierną długoletnią służbę, wyrządzić jej tak okrutną krzywdę, oderwawszy ją przemocą od małych niezaradnych szczeniątek.

Tegoż bowiem dnia rano, zabrano Druchnę z sobą do odległego miasta, bez względu na jej poważny stan, a gdy w kilka godzin potem w zajeździe, gdzie ją umieszczono wraz z końmi, przyszło na świat troje małych szczeniątek, gospodarze Druchny zadecydowali nie zabierać ich z sobą do domu i nie zważając na protest biednej matki, która, skomląc, prosiła o litość, przemocą odciągnęli ją od szczeniąt i przytrzymawszy na wozie przywieźli do domu.

Ale Druchna skoro tylko znalazła się w budzie, poczęła rozmyślać nad odzyskaniem utraconych swych dzieci, wybiegłszy więc z budy, podążyła tym samym gościńcem, którym przed chwilą jechała z gospodarzami. Droga była daleka i wyczerpująca, ale Druchna postanowiła za wszelką cenę odzyskać swe dzieci i myśl ta dodawała jej sił, gdy przez noc całą przenosiła po jednemu troje swych szczeniąt.

Lecz przechodząc trzeci etap ciężkiej podróży, Druchna poczuła, że siły ją opuszczają, a zmęczone nogi odmawiają dalszego posłuszeństwa. Co parę więc kroków przysiadała ociężale na ziemi. Kładła swe małe szczeniątka i liżąc je miłośnie ogrzewała, coraz już zimniejszym oddechem.

Stęsknione jej oczy wpatrzone z pożądliwością w zadymkę nocy, wypatrywały, azali nie ujrzą tam wyłaniającej się znajomej chaty, a pod nią małej zacisznej budy.

Jeszcze tylko trzy słupy kilometrowych znaków — jeszcze dwa — jeszcze jeden, a ułoży się w cichej budzie wraz z odzyskanemi dziećmi — perswadował zmroczony psi zmysł, ale mimo to kroki Druchny stawały się coraz powolniejsze i niepewne.

Tam w oddali, w ciepłej zacisznej chacie spali zapewne w tej chwili, w otoczeniu swych dobrze ogrzanych dzieci, owi kulturalni ludzie — władcy zwierzęcego świata — który przez brak serca, skazali najwierniejszą przyjaciółkę i stróżkę swego domu, na rozpaczliwy czyn całonocnej wędrówki.

W rozsnuwającej się przędzy nowego poranku, ujrzała wreszcie Druchna znajomą swą chatę. Wolno więc przyczołgała się do ciemnego otworu budy i ostatkiem sił wcisnęła się do wnętrza, gdzie z piskiem żałosnym otoczyły ją wyczekujące nań szczenięta.

Druchna, ułożywszy się cicho, poczuła nagle ogromną ulgę na myśl, że nie potrzebuje już więcej iść w zmrok dalekiej drogi, jaką nocy tej potrzykroć już przeszła. Otoczyła więc łapami kwilące swe dzieci i przytuliwszy się do nich cicho, usnęła...

W parę godzin potem, gdy gospodarz, po dobrze przespanej nocy wyjrzał na podwórze, posłyszał zdziwiony jakiś żałosny pisk w budzie. Zajrzał więc i cofnął się przerażony, a z oczów jego popłynęła spóźniona łza żalu.

Na garści słomy, leżała martwa stróżka domu Druchna, a po zimnych jej zwłokach łażąc, kwiliły żałośnie małe szczenięta, dla których to miłości poświęciła swe życie wierna matka-wyżlica.

Kachna Ł. Łza.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Zanzibar III.



Murzynka przy pracy.

Słabe zaledwie pojęcie dają o tem nasze obrazki, jak mieszkają tubylcy na Zanzibarze. Oto na pierwszym z nich widzimy tamtejszą chatkę. Są to cztery zwykłe kije, wbite w ziemię, a na nich zrobiony daszek z jakichś krajowych roślin. Widocznie cała ta, niby tak zwana chata, ma na celu zabezpieczenie jedynie środków spożywczych od promieni słonecznych. Przy owej „budowli" siedzi gospodyni domu z małem dziecięciem na rękach i przygotowuje pożywienie. Obok stoi drugi bachor i tymczasem oblizuje palce, zanim dostanie coś do zjedzenia. Jedno jest tak, jak u nas: oto na jakimś pagórku, czy kupie śmieci grzebie małżeńska para kurza, szukając pożywienia.

Gdzie jednak rozpoczęli swą pracę misjonarze, tam i wioski murzyńskie przedstawiają się inaczej. Wskutek rad i wskazówek tych niestrudzonych pracowników mieszkańcy tamtejsi budują sobie domki, choć w części podobne do naszych. Widzimy taką wioskę na naszym drugim obrazku, ale widzimy ją w czasie pożaru.

Oto jeden z księży misjonarzy przybył pomiędzy napół dzikich murzynów, zakupił od naczelnika plemienia grunt i postanowił założyć tam kolonję. Krajowcy nie przestraszyli się łagodnego przybysza, ale owszem pomagali mu w pracy jego, a pomagali tem chętniej, że widzieli, iż on chce był ich przyjacielem i dla ich dobra działać. Pracowite ręce krajowców zmieniły wkrótce żyzną ziemię na ogród, zebrano wkrótce stado kóz i owiec, wskutek czego gospodarka szła jak najlepiej. Murzyni lgnęli do misjonarza i ufali mu we wszystkiem, a pouczeni przez niego o zasadach prawdziwej wiary, chętnie chrzest święty przyjmowali.

Szczęśliwy misjonarz widział już swoich chrześcijan na swe utrzymanie pracujących i cieszył się, że będzie mógł pospieszyć do ludów, mieszkających naokoło, a pozostających w pogaństwie. Niestety, stało się inaczej. Nagle wybuchł pożar i zniszczył wysiłki misjonarza. Oto w jednym domu zapalono w piecu na chleb. Ktoś zauważył, że ogień w piecu przygasa, rzucił więc na kraj pieca garść słomy i wyszedł na podwórze, aby poszukać czegoś, czemby ową słomę do pieca popchał. Tymczasem słoma buchnęła silnym płomieniem, który momentalnie objął dach domu. Daremne były starania, żeby ogień ugasić; wiatr i gorąco podniecały go jeszcze. W jednej chwili przeniósł się



Pożar wioski chrześcijańskiej.

na sąsiednie dachy, zajął dom przeznaczony do przyjmowania podróżnych, kaplicę, magazyn, kuchnię i inne zabudowania, i tak w pół godziny cała wioska stanęła w płomieniach.

Chwilę tę widzimy na naszym drugim obrazku. Oto dwaj inni misjonarze wstąpili właśnie do owej wioski na odpoczynek. Ku nim biegnie gospodarz i założyciel osady. Zrozpaczony starzec rozpostarł ręce, uważając wszystko za stracone, ale jeden z przybyłych gości wskazuje ku górze, jakby chciał powiedzieć, że Bóg nie opuści nieszczęśliwych w ich niedoli, a drugi zanosi gorące modły do Stwórcy o pomoc w nieszczęściu. Mieszkańcy natomiast wynoszą resztki dobytku, jaki się dało z pożogi ocalić.

Jakże oni już niepodobni do tej kobietki na naszym pierwszym obrazku. Pod wpływem nauk misjonarza nagie swe ciała okryli ubraniami, mają worki na zboże i różne sprzęty domowe. Jest to dowód, że tam, gdzie dociera nauka Chrystusowa, wraz z nią idzie i cywilizacja, urabiają się dobre obyczaje i wogóle ludność coraz bardziej upodabnia się do człowieka, a traci coraz więcej ze swej zwierzęcości.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Świętej pamięci Maciek Bzdura, który jesce na moje utrapienie nie umarł, ale pewnikiem, jak dwa a dwa w pacirzu, umrze, bez tyle miesięcy nie pozwolił mi ani krusynę z wami w „Roli" pogadać.

Powiadał: „Gęba babska jest do całowania, do zarcia zimniaków, a jezeli ma juz gadać, to prawie jej jadackę otwierać do paciuków, do kur, a nie do publicnych ludzi, jacy „Rolę" cytają.

Nie widziało mi sie to całkiem w porządku, bo przecie jak Poniezus stworzył pirsego cłowieka, to pedział mu:

— Bedzies, bejdaku, pracował na chlebuś, jak wół!

Miało to znacyć, ze chłop ma robić, babie we wszyćkiem tak we dnie, jak i w nocy dogadzać, a ona ino chcieć, aby jej dobrze i wesoło było. Tak miało być, ale chłopy, jako to ze byli, są i bedą cyganami, wszyćkie przywileje babom odebrali, a sami sie panosą, jakby ino oni jedni byli na świecie. Ale i jem musi przyjść na koniec.

Nie mogłam i ja ścirpieć tej chłopskiej przewagi i postanowiłam sie z niej choćby na ociupinkę oswobodzić i wygadać wszyćko, co mam na wątrobie. A przygotowywałam sie galanto do tego mojego gadania. Jak to zuźry nawet ślepy na oba usy, wyrychtowałam se gębe na glanc, tum troche nadstukowała, tam trochem podmalowała, owcarz mi pełechy do porządku doprowadził i jestem niby nie tasama, ale w gruncie rzecy tasama. Zreśtą u bab wygląd cielesny zmienia sie niemal z dnia na dzień i ta co jesce z wiesną była cienka, jak powrózek, to jesienią zgrubnieje, jakby siennik. Znać, ze jej zimniacki służą, a zasie znowu niezadługo wraca do swojej cienkości i tak niemal co roku dwa razy sie zmienia w sobie. Jedno ino zostaje w niej niezmienne, to jest język, ale tez nic dziwnego, bo jest on umiescony w najcieplejsem miejscu wnętrzności cłowieczych, to ni mają na niego wpływu zadne ziemskie zjawiska przyrody. A na inkse częśći ciała kobiecego, to nawet najmniejse zewnętrzne przyrodzenie wpływ wielki wywiera.

Choć Poniezus stworzył chłopa do roboty, to wielu śnich nijak se tego do serca wziąć nie chce i nie umi tak robić, jak potrza. Zdarzyło sie w tamten piątek, ze nasa gospodyni posli na jarmak, a ja sie gdziesik zawierusyłam z chłopakami w sianie, tak trzeba było na połednie ogony wydoić. Ni miał kto, więc musiał to zrobić, bejdacysko, Maciek. Ale jak zrobił? Siadł pod krasulę i zacął ją swojemi ręcyskami ciągnąć tak, ze jej jaz dwa cycki naderwał i bez to potem musiała bez cały tydzień chorzeć.

Co innego baba! Ta ma u siebie w kuzdem kroku tyle delikatności, ze jesce zadna zadnemu stworzeniu nic nie oderwała.

Kiedyindziej znowu musiał Maciek strawę gotować. Gotował ją po swojemu: śtyry godziny, a jak z blachy odstawił, to basz był taki gęsty, jak pamuła, a zimiaki rzadziutkie, jak poliwka. I do tego jesce basz osolił śtyry razy, a zimniaków ani razu. Zreśtą nie było nawet co solić, bo ich połowę z garcka w gotowaniu wyżar.

Kiedyindziej zasie kazali mu gospodyni bawić sąsiadcyne dziecko, kiedy ta na wesele swascyć posła. Maciek, jako to chłop nieporadny, jął sie z większemi ścigać po izbie, a najmniejse, które jesce ni miało ani roku, zostawił w kolibce bez opieki. Dziecko jęło wrzescéć, a Maciek, zamiast mu dać ssać, jakby to była zrobiła nawet najgłupsiejsa kobita, wepchał mu do gęby kawałek zimniaka, ze się o mało brzdąc nie udusił. Na wrzask dzieci nadesła Weronka Paciorkowna, a wtedy Maciek zapomniał o dzieckach, a zabrał sie do Weronki i tak ją zabawiał, ze jaz potem go jegomość z kazalnicy skunierowali. I powiedzcie mi sami, cyby to była zrobiła jakakolwiek niewiasta?

Coprawda to juz Poniezus w raju pobłądził, myśląc, ze chłop sam jeden na świecie wystarcy, ale sie wnet przekonał, ze to nie bedzie dobrze i jął na gwałt robić Jewę, coby była chłopu do wszyćkiego przydatna. Ale, jak to mówią, co nagle, to po djable, tak tez było i z Jewą. Zeby ją był Poniezus powolutku stwarzał, jak Jadama, toby było wszyćko dobrze, ale ze sie spiesył, to w jednem miejscu cegosik jej brakuje, w drugiem ma znowu zaduzo i bez to stała sie nie taka formena, jak chłop.

Ale i chłop chłopu nierówny. Niby to kuzden z nich ma to, co mu najpotrzebniejse w zyciu, a więc głowę, a na niej capę, lagę w garści, lec w tej głowie niejednemu brakuje rozumu, a siły w garści. Bo co mi to naprzykład taki chłop, jak nas wójt w Psiej Wólce? Na drogach dziury, w karcmach pijatyki i bijatyki, a pan wójt weźnie lagę do garści, wsadzi fajke w twarz i paraduje, nicem jaki łokomon, a we wsi najmniejsego porządku nima. Jakbym ja była wójtem, to wnetbym zrobiła porządek: tegobym

wzięła za kark, tamtego za kark i powyrzucała z karcmy, aby darmo Boga nie obrazali i pieniędzy nie tracili. A tu chłop w karcmie pije, chłop jest wójtem i jakze chłop chłopa ma z karcmy wyrzucać? Przecie pies psu ogona nie urze!

Jakbym ja ta miała władzę w garści, tobym wszędzie wójtami porobiła same baby, a widzielibyście, jakby wszyćko przed niemi stało na bacność.

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

Godfrey wstał. Zrobił w salonie parę kroków, nie patrząc na Finę, a wskazujący jego palec bezwiednie uderzył w klawisz. Ozwało się wysokie „D", ton żałosny, odpowiadający jego usposobieniu.

Fina zrozumiała i nie tracąc słów, przyparła niejako swego narzeczonego do muru, chcąc mu pomóc do uczynienia wyłomu, którym mógłby wyfrunąć, dokąd go parła fantazja — gdy w tejże chwili otwarły się drzwi salonu. Wszedł Wiliam W. Kolderup, trochę zajęty swemi myślami, jak zwykle. Jako kupiec ukończył był właśnie interes, a teraz zabierał się do drugiego.

— Chodzi już tylko o oznaczenie dnia — oświadczył.

— Dnia? — powtórzył Godfrey z lekkim dreszczem. — Jakiego dnia, wuju, jeśli wolno spytać?

— Dnia waszego ślubu! — odrzekł Wiliam W. Kolderup. — Bo chyba nie mojego!

— Czy to jednak nie zbyt pospiesznie? — zauważyła Fina.

— Co? Co to ma znaczyć? — spytał wuj. — Wszak to postanowione!

— Kochany chrzestny ojcze — odezwała się dziewczyna — teraz chodzi o ustanowienie nie dnia ślubu, lecz dnia wyjazdu.

— Wyjazdu?

— Tak, wyjazdu Godfreya — potwierdziła miss Fina. — Przed ślubem chciałby trochę podróżować po świecie.

— Ty chcesz podróżować... ty? — wykrzyknął William W. Kolderup, przechodząc do młodego człowieka i chwytając go za ramię, jakgdyby się obawiał, że ten gałgan gotów mu drapnąć z miejsca.

— Tak, wuju! — dzielnie potwierdził Godfrey.

— Na jak długo?

— Na ośmnaście miesięcy, lub na dwa lata, o ile wuj i Fina zechcą na mnie czekać do tego czasu.

— Czekać na ciebie! Patrzcie na tego pana młodego, któremu się zachciewa czmychnąć! — wykrzyknął William W. Kolderup.

— Niech Godfrey postąpi według swych chęci — rzekła Fina. Kochany ojcze chrzestny, ja to już wszystko rozważyłam. Ja jestem młoda, ale w rzeczywistości, to Godfrey jest jeszcze młodszy. W podróży szybko dojrzeje, dlatego myślę, że nie powinniśmy mu przeszkadzać. Skoro chce podróżować, to niech podróżuje. Już on uczuje potrzebę spokoju, a po powrocie zastanie mnie taką, jak dziś...

— Co? — wykrzknął William W. Kolderup. — Ty się zgadzasz na wypuszczenie tego wartogłowa?

— Tak, na dwa lata, jak tego żąda.

— I będziesz na niego czekać?

— Wuju, gdybym nie mogła na niego czekać, tobym go nie kochała!

To rzekłszy, Fina znów usiadła do fortepianu, a palce jej nawpół bezwiednie zagrały bardzo modną kompozycję: „Pożegnanie narzeczonego" bardzo w tej chwili odpowiednią. Godfrey był pomieszany i nic nie mówił. Wuj ujął jego głowę w obydwie ręce, zwrócił ją do światła i uważnie przyglądał się jego twarzy. W ten sposób, nie potrzebując mówić, zadał mu pytanie, a Godfrey na nie odpowiedział, również nie rzekłszy słowa.

Wciąż jeszcze brzmiały melancholijne dźwięki „Pożegnania narzeczonego". Nareszcie William W. Kolderup, przebiegający salon tam i z powrotem, zatrzymał się przed Godfreyem, który stał przed nim niby winowajca przed sędzią.

— Czy żądasz tego całkiem poważnie? — zapytał.

— Całkiem poważnie — odpowiedziała Fina, gdy Godfrey wykonał tylko potakujący ruch głową.

— All rigt! — rzekł William W. Kolderup, dziwnem spojrzeniem rzuciwszy w stronę siostrzeńca. — Chcesz zakosztować życia na obczyźnie, zanim się ożenisz z Finą! — mruknął przez zęby. — Zgoła, będziesz miał tę przyjemność.

Przeszedł się jeszcze trochę po salonie, poczem stanął przed Godfreyem, skrzyżowawszy ręce na piersiach.

— Dokąd chcesz jechać? — spytał.

— W świat!

— A kiedy?

— Kiedy wuj pozwoli.

— Zgoda! Więc możliwie najrychlej.

ROZDZIAŁ IV.

Gdyby T. Artelett był Francuzem, ziomkowie jego byliby mu niewątpliwie nadali żartobliwe miano Tartelett. A że to miano jest dla niego bardzo odpowiednie, więc nie wahamy się go tak nazwać. Zresztą, jakkolwiek Tartelett nie był Francuzem, to jednak godzien był nim być.

Tartelett, stary kawaler, liczył lat 45 w chwili zapoznania go z naszymi czytelnikami. Jednak przed mniej więcej dziesięciu laty, niewiele tylko brakowało, a byłby się ożenił z dziewicą, będącą właśnie w najlepszych latach.

W owym to czasie i w związku z jego planem matrymonjalnym, pytano go o jego wiek, powierzchowność i pozycję, na co podał odpowiedź wyczerpującą, która zwalnia nas od określenia jego sylwetki duchowej i fizycznej. Ta jego odpowiedź brzmi:

„Urodzony 17 lipca 1835 r. o godzinie pół do czwartej rano. Wzrost 5 stóp, 2 cale. Objętość w biodrach, dokładnie 2 stopy, 3 cale. Waga, która zeszłego roku powiększyła się o 6 funtów, wynosi 151 funtów, 2 gramy. Głowa podłużna. Włosy rzadkie, rozdzielone nad czołem, kasztanowate, lekko przyprószone siwizną. Czoło wysokie, twarz owalna, cera różowa. Oczy, niezwykle wyraziste, szarawe. Brwi i rzęsy kasztanowate. Powieki nieco wgłębione w jamy oczne, pod łukowatemi brwiami. Nos średniej wielkości, na lewem skrzydle przecięty. Skronie i policzki płaskie, bez zarostu. Usta średnie i całkiem wolne od zepsutych zębów. Wargi szpiczaste, wąskie, okryte gęstym zarostem, okrągły podbródek również ocieniony różnokolorową brodą. Mięsistą szyję zdobi brunatna plama. Gdy się kąpię, można widzieć, że mam skórę białą, bardzo słabo owłosioną. Tryb życia spokojny i uregulowany. Nie będąc zbyt silnego zdrowia, dzięki wielkiej wstrzemięźliwości, od chwili urodzenia ani razu nie był chory. Ma płuca bardzo

wrażliwe, dlatego nie hołduje niemiłemu zwyczajowi palenia. Nie pije też żadnych alkoholi, ani kawy, ani likieru, ani niefałszowanego wina. Jednem słowem, z djety jego wykreślone wszystko, cokolwiek mogłoby ujemnie wpływać na jego system nerwowy. Słabe piwo i limonjada — oto jedyne napoje, których może używać, bez narażenia zdrowia. Dzięki temu systemowi, nigdy jeszcze nie był zmuszony zwracać się o poradę lekarską. Postawa zgrabna, chód żywy, zachowanie szczere i swobodne. Jego delikatność nie zna granic i tylko przez obawę unieszczęśliwienia jakiejś kobiety, wahał się wstąpić w święty stan małżeński".

Tak brzmiał fizyczny i duchowy rysopis Tartelettą, przez niego samego sporządzony; ale jakkolwiek wabiący mógł on być dla dziewicy w pewnym wieku, to jednak planowany związek małżeński nie doszedł do skutku. Tedy profesor został starym kawalerem i w dalszym ciągu udzielał lekcyj tańców i dobrych manjer.

W tym czasie i pod tym swoim tytułem został wprowadzony do pałacu Kolderupów. Gdy z biegiem lat wszyscy uczniowie go porzucili, mistrz tańców został jednym z członków personalu bogatego domu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wynik konkursu „Roli".

Ogłoszony przez nas w październiku konkurs na powiastkę, legendę, humoreskę względnie artykulik poważny przyniósł pod względem ilości bardzo dobry rezultat. W oznaczonym czasie otrzymaliśmy kilkadziesiąt prac, z których wiele, choć nie są to arcydzieła, zasługuje na pełne uznanie. A nawet w rzeczach słabszych i bardzo słabych znać te szlachetne usiłowania twórcze, którym przyklasnąć należy i należycie ocenić trzeba. Wszak to nie był konkurs dla literatów zawodowych, których obowiązkiem jest oddawać do druku dzieła skończone, ale był to konkurs dla tych, którzy sił swoich na polu literackiem po największej części dopiero zaczynają próbować.

Wychodząc z tego założenia, za najlepsze prace uznaliśmy następujące: (Wyszczególnienie prac podajemy nie według ich wartości literackiej, gdyż ta jest niemal równomierna, ale według alfabetycznego porządku autorów) 1. Bodnicki Władysław Marja: „Bajka o miłości", 2. Byczek-Breowicz Wojciech: „Syn leśnika", 3. Empe Fryderyk: „Skąpiec", 4. Fornalikówna Anna: „One były mu przyjaciółmi", 5. Frączek Tadeusz: „Fałszywy wstyd", 6. Kachna Ł. Łza; „Miłość matki". 7. Miesiączek Wawrzek: „Królowa Beskidów i rycerz Giewont", 8. Orlik Jacek: „Pożegnanie miłości", 9. Pelczar Jan: „Tęczowy promień", 10. Sanakiewicz S.: „Z pamiętników lotnika", 11. Ślązaczka: „Modlitwa wędrowca", 12. Wenc Piotr: „Pustelnik z Liwocza. Wszyscy autorzy powyższych utworów otrzymają na pamiątkę książki powieściowe.

Oprócz tego wybraliśmy do druku 34 utworów, pomiędzy którymi znajdują się rzeczy bardzo dobre, ale są i rzeczy słabsze, potrzebujące poprawek i przeróbek. Jedne z nich odznaczają się ładnym stylem, inne szlachetną treścią, a jeszcze inne ciekawem ujęciem tematu. O ile miejsce pozwoli, wszystkie te utwory wydrukujemy w „Roli" w ciągu roku, gdyby jednak miejsca zabrakło, to w każdym razie większość z nich ukaże się w druku. Wykaz utworów przeznaczonych do druku podajemy również w porządku alfabetycznym autorów, a mianowicie: B. B z Wiśniowy: „Nad brzegiem przepaści", Bitka-Głębicki Henryk: „Jeszcze jedna", Błaś Izydor: „Wronie darcie", Empe Fryderyk: „Sen", Fijak Ludwik: „Bajka ze wsi", Fornalikówna Anna: „Zbratani", Gabzdyl Franciszek: „Rankiem", Halpern Marja: „U zmierzchu jesieni" i „Jurek", Janczarek Władysław: „Na drodze" i „Łóżko śmierci", Kawczak Franciszek: „Poświęcenie", Kralka Wincenty: „Zakład", Lichorobiec Anastazy: „Tragiczny wzlot orła", Lutecki Kazimierz: „Dla Ojczyzny", Miesiączek Wawrzek: „Wyrok cygana", Mokrzycki Franciszek: „Złodziejski pomysł", Nadwiślanin z Cieszyńskiego: „Cel życia naszego", Oparski Paweł: „Jak było dawniej", Orlik Jacek: „Baśczyne odejście", Pachołek Józef Mieczysław: „Za Polskę", Podhalanin: „Wspólna mogiła", Pokusowa Julja: „Jak to cygan umie się wyłgać", Rec: „Ratunek", Stabrawówna Helena: „Dzień dobry wujaszku z Ameryki", Sułek A.: „Historja kaplicy", Syposz Karol: „Morderstwo, którego nie było", Urbanek Ferdynand: „Chirocen", Wawrzykówna Marja: „W wieczorną godzinę", Wenc Piotr: „Do broni, bracia, do broni!", Więchowa Wanda: „Nieszczęścia Basi", Wołek Leopold: „Herszt", Wośkowski Czesław: .Autorska recepta", Zdun Eugenjusz: „Za Ojczyznę".

I wśród reszty utworów znajdują się rzeczy bądź dobrze napisane, ale nieodpowiednie dla „Roli", bądź też artykuły posiadające i myśl dobrą i temat niezły, ale napisane bardzo słabiutko, a są i takie, że szkoda było na nie papieru. Dotrzymując przyrzeczenia, że o każdym utworze wyrazimy nasze zdanie, podajemy poniżej ocenę utworów bez wymieniania ich autorów.

„Bez targu" — obrazek dobrze napisany, ale przypominający smutne chwile niedawnej przeszłości, o którejby zapomnieć należało. „Mit o jesieni" — styl napuszysty, wiele wyrazów niezrozumiałych dla większości czytelników. „Jak cesarz zniósł pańszczyznę?" — artykuł podburzający jedną warstwę społeczną przeciw drugiej. „Antoś" — pomysł dobry, ale opracowanie zbyt słabe. „Kumpany" — same lokalizmy, opowiadanie bez znaczenia. „Na Hel" — bardzo dobre, jako korespondencja do dziennika, ale nie dla „Roli". „Na konkurs" — napisane potoczyście, ale treść pospolita. „Warcaby" — treść dość dobra, ale opracowanie słabe, styl nierówny, niewyraźny. „Przez młodość człowiek ptakiem przeleci" — styl napuszysty, treść dla przeciętnego czytelnika niezrozumiała. „Na Helu" — b. ładny obrazek nastrojowy, ale dla „Roli" nie nadaje się. „Poświęcenie siostry Hildegardy" — ładne opowiadanie, ale zbyt osobiste. „Obrazek z życia" — pomysł niezły, ale opracowanie zbyt słabe. „Zagadki" — raczej notatka reklamowa, aniżeli artykuł. „Powstanie listopadowe" — zbyt pobieżnie opisany tak doniosły fakt. „Szczęście w miłości" — bajdurzenia dwojga smarkaczy, którzy zamiast się uczyć, mówią o tem, czego jeszcze nie rozumieją. „Zdradzony kochanek" — napisane dobrze, ale treść zbyt pospolita. „Brat do braci" — myśl b. dobra, ale opracowanie zbyt słabe. „Niefortunna miłość" — postępek brata Heluni wobec bohaterki nowelki niesmaczny; opowiadanie słabe. „Sercem przebaczyła" — temat dobry, ale opracowanie zbyt słabe. „Za Ojczyznę" — drobiazg sto razy już lepiej opisany. „Dzisiejsze czasy" — pomysł dobry, ale opracowanie słabe. „Z miłości" — opowiadanie potoczyste, ale b. dużo błędów stylistycznych. Samobójstwo Antosia nieumotywowane. „Siostry rywalki" — rzecz stylistycznie dobrze napisana, ale treść zbyt błaha. „Ufność Boża nie zawiedzie" — stylistycznie b. dobrze napisane, ale zbyt mały drobiazg. „Z choroby na rolę" — napisane b. niestarannie, niewiadomo, gdzie początek, a gdzie koniec. „Bracia" — jest to temat do dłuższej powieści; w tej formie bez znaczenia. „Z przeszłości" — najzwyklejsze zdarzenie, opowiedziane b. słabo. „Banialuki" — drobiazg bez znaczenia. „Imieniny Mikołaja" — opowiadanie pouczające, ale słabo napisane. „Przygoda pijaka" — humoreska bez humoru. „Zapóźno" — treść zbyt pospolita. „Rola" — reklama dla „Roli", nie odpowiada więc warunkom konkursu. „Emigrant" — myśl ładna, ale opracowanie zbyt słabe. „Z niedalekiej przeszłości" — i „Niepoprawny" — w obydwu utworach brak stylistycznego opracowania, forma nieudolna. „Oddźwięk" — bez talentu. „Poświęcenie" — opowiadanie b. słabe, jakby na kolanie pisane. „Obrazek z życia" — myśl ładna, ale opracowanie słabe. „Szyderca" — jest to raczej notatka kronikarska, aniżeli nowelka. „Powitanie" — drobiazg bez znaczenia. „Tułacz" — drobiazg bez znaczenia. „Wigilja narzeczonego" — zdarzenie zbyt pospolite, brak formy literackiej. „Wartnik" — opowiadanie bez talentu.

Może niejeden z autorów będzie czuł żal do nas, żeśmy go zbyt ostro skrytykowali, ale trudno! Przedewszystkiem należy być szczerym, bo tylko wówczas daje się prawdziwą wskazówkę do dalszej twórczości. I ani na chwilę nie wątpimy, że niejeden z tych, których utwory przeznaczyliśmy do kosza, popróbuje jeszcze nieraz swoich sił i nadeśle nam rzecz zupełnie godną druku.

Poradnik gospodarczy.

Pożytek z hodowli pszczół.

Tylokrotnie już wykazywaliśmy pożytek z pszczół, że nie myślimy dziś jeszcze raz tego powtarzać. Natomiast przytoczymy ciekawe zdarzenie, jakie miało miejsce w Żółkwi po śmierci Stanisława Żółkiewskiego, o którym drukujemy naszą powieść p. t. „Cecora", kiedy syn jego był w niewoli, a na zamku pozostała tylko wdowa, pani Regina Żółkiewska.

Trzeba wiedzieć, że praojcowie nasi byli wielkimi zwolennikami pszczółek. Nie było wieśniaka, nie było ziemianina, nie było księdza, któryby nie posiadał własnej pasieki. a nawet mieszczanie hodowali ich sporą ilość. Nie były to takie pasieki postępowe, jak obecnie, w których człowiek kieruje pracą tych skrzydlatych stworzeń, ale zwykłe barcie, t. j. kłody drzewa,, w których wnętrzu były wydłubane jakby skrzynki, gdzie gnieździły się pszczółki. Jak wyglądały pierwotne pasieki, widzimy to na naszym obrazku. Oto w sadzie stoją całe szeregi pni, w pobliżu których siedzi siwo i długowłosy staruszek, opiekun ich i właściciel. Niejednokrotnie pasieka taka liczyła kilkaset pni, a pszczoły miały dość pożytku, gdyż ziemię naszą porastały nieprzejrzane bory, w których rosło moc miododajnych. roślin.

Miał też dużą pasiekę i zamek żółkiewski, mieli je i tamtejsi mieszczanie. Otóż zamek ten w 1621 roku oblęgli Tatarzy, a słaba załoga, którą dowodził kasztelan Stupnicki, nie mogła im poradzić. W sam dzień św. Krzyża miano się poddać, bo brakowało już amunicji. Wtedy nadbiegł do Stupnickiego stary bartnik i oznajmił mu, że on odpędzi od zamku Tatarów. Nie dowierzał bardzo ochocie bartnika pan Stupnicki, ale nie miał nic do stracenia, więc pozwolił mu robić wszystko, co uzna za stosowne. A bartnik kazał natychmiast poznosić wszystkie pnie pszczół z ogrodów zamkowych na wały, poznosili też swoje mieszczanie, a kiedy było już wszystko przygotowane, zepchnęli z wałów pnie na oblęgających Tatarów. Gdy barcie spadły i otwarły się zatwory ulów, łagodne dotychczas pszczółki wysypały się z pni gęstemi chmurami i z okropną zajadłością wpiły się w tatarskie konie i śmierdzące tatarskie pyski. Żółkiewscy obrońcy i właściciele pasiek stali teraz z założonemi rękami i patrzyli, co się dzieje. Jedni żałowali swych ginących w obronie Ojczyzny pszczółek, inni na wałach pokładali się od śmiechu, bo tam za murami pocieszne działy się sceny. Konie się gryzły, stawały dęba, przewracały, kopały, uciekały. Tatarzy z początku się iskali, potem po ziemi się tarzali, wreszcie uciekać poczęli, bo z pszczołami nie było rady. Teraz bartnicy skoczyli z siekierami, barcie popostawiali, do których poczęły się gromadzić ocalałe pszczółki, a załoga, wypadłszy z fortecy, wysiekła uciekającą hordę. Takto te maleńkie muszki stały się obrońcami nietylko zamku żółkiewskiego, ale może i całej Ojczyzny.

W dawnych czasach, kiedy to jeszcze nasze pszczółki żyły napół dziko po wielkich borach, pomagały one często w polowaniu naszym praojcom na niedźwiedzie. Wiadomo, że niedźwiedź jest wielkim amatorem miodu. Żyjąc w lasach polskich, gdzie było w dziuplach drzew bardzo wiele pszczół, niedźwiedzie zakradały się na te drzewa i wybierały wonny miód. Ale niejednokrotnie zdarzało się, że miś, wylazłszy na drzewo, na którem był przymocowany pień z pszczołami, tak silnie wpijał swe pazury w ów pień, że ich potem wyciągnąć nie mógł. Szamocąc się, spadał z pniem na ziemię i stawał się bezradnym. Korzystał wówczas z tego bartnik, dopadał niedźwiedzia i siekierą zadawał mu cios śmiertelny. Umocowywał następnie pień z pszczołami na drzewie, a w nagrodę za swój trud miał dla siebie skórę niedźwiedzią.



Były to czasy dawne i zdarzenia takie nie powtarzały się często. Nikt też więc na nie nie liczył, ale hodował pszczoły w innym celu, a mianowicie, aby mieć własną i smaczną omastę do chleba, która zarazem była środkiem leczniczym lub zapobiegawczym przeciw wszelkim chorobom. W komorach stały garnki z wonnym miodem praśnym, który był cały rok do użytku, w piwnicach znaleźć było można u każdego wieśniaka beczki z miodem pitnym, którym odwilżał nietylko własne gardło, ale którym mógł poczęstować przybyłego sąsiada w gościnę. Gospodynie wypiekały przeróżne miodowniki i pierniki, tak ulubione nietylko przez dzieci, ale i przez starszych.

Z zanikiem naszych odwiecznych borów i pasiecznictwo w Polsce podupadło z wielką szkodą dla naszego bogactwa narodowego. A przecież, choć niema już tylu lasów, to przecież ziemia nasza ma jeszcze taką obfitość roślin miododajnych, że sto razy więcej potrafi nakarmić pszczół, aniżeli ich jest dzisiaj w Polsce, a nam może przynieść miljony dochodu, jeżeli tylko wszędzie zaprowadzimy pasieki.

A sam wosk jakiż olbrzymi dochód może dać rocznie hodowcom tych maleńkich stworzeń!? A gdyby nawet nie to wszystko, to przecież wiadomo, że pszczoły przenoszą pyłek z kwiatka na kwiatek

i tym sposobem przyczyniają się do powiększenia naszych zbiorów tak w sadach, jak i na polach.

Tysiące korzyści dają nam więc pszczoły, a my z własną szkodą hodować się ich boimy. Boimy się, bo kłują, a przecież nawet ukłucie ich jest dla nas dobrodziejstwem, bo zapobiega reumatyzmowi, a nawet go leczy, jeżeli on się już zagnieździł w naszem ciele.

Hodujmy więc pszczoły, bo one są dla nas nieocenionym skarbem!

KRONIKA.

Z Sejmu. Jak było do przewidzenia, praca w Sejmie odbywa się normalnie. Blok Bezpartyjny współpracy z rządem (B.B.W.R.), posiadając znaczną większość posłów, przeprowadza uchwały według własnego uznania. Opozycja bierze również żywy udział w obradach, występując, jak dotychczas, zupełnie rzeczowo. Główna jednak praca koncentruje się w komisji budżetowej, gdzie posłowie omawiają budżet na rok 1931/2. Dotychczas omówiono budżety kilku ministerstw, czyniąc w wielu wypadkach znaczne oszczędności. Jako fakt charakterystyczny należy zaznaczyć, że posłowie z B.B.W.R. wystąpili z inicjatywą, aby pobory posłów obniżyć o 15 procent.

Jak to było w Brześciu? Agencja „Iskra" ogłasza stenograficzny protokół zeznań dotyczących pobytu w więzieniu brzeskiem, złożonych przed sądem okręgowym w Radomiu przez b. posła Baćmagę, skazanego — jak wiadomo — na 3 lata więzienia za defraudację. B. poseł Baćmaga zeznaje w odpowiedzi na pytania prokuratora między innemi: W twierdzy brzeskiej przebywałem w związku z moją sprawą przez 2 miesiące i 2 dni. Powodów do skarg na władze więzienne w Brześciu nie mam i nigdy takich skarg nie wnosiłem. Kiedy zostałem osadzony w Brześciu, dostawałem pożywienie codziennie, na śniadanie herbatę, na obiad kartofle, na kolację kaszkę. Chleba dostawałem porcje takie, że mógłbym zjeść dwa razy tyle. Od 9 listopada otrzymywałem wyżywienie w większej ilości i więcej tłuszczu oraz dwukrotną porcję chleba. Na początku siedziałem z Kiernikiem, który sprzątał celę za siebie i za mnie. Potem siedziałem trzy dni z Dębskim i dwa tygodnie z Korfantym a ostatnio z Barlickim. Ci tak samo jak przedtem cele codziennie sprzątali. Uprzątanie celi polegało na tem, że przebywający w celi codziennie takową zamiatali i wynosił kubeł do ustępu. Kubeł po opróżnieniu czyszczono, sam to robiłem. Na czwarty dzień po osadzeniu mnie w twierdzy ostrzyżono mi włosy. Codziennie po pół godziny używałem spaceru z towarzyszem celi. Podczas spaceru stawanie na baczność przed dozorem nie było wymagane, pomimo, że przepis brzmiał, iż każdy więzień winien oddawać uszanowanie dozorowi. W celi było ciepło i zimna nie odczuwałem, a już z początkiem listopada cela była opalana. Na zapytanie prokuratora, czy był szykanowany, zeznaje: Nie byłem szykanowany, a co do innych tego nie wiem. Co do jedzenia, to mając średni apetyt, próśb o podwyżkę jedzenia nie stawiałem. Czy inni o to prosili, nie wiem. Obecnie przebywam w więzieniu w Radomiu i tu pożywienie mam gorsze niż w Brześciu. W więzieniu brzeskiem otrzymywałem bieliznę czystą raz na tydzień oraz dostawałem książki do czytania. Kiedy siedziałem z Kiernikiem, ten wniósł zażalenie do władz, że chciałby siedzieć w więzieniu cywilnem a nie wojskowem. Do celi przychodził pułkownik i oficer w sprawie badania, wyprowadzania i wprowadzania, zmiany książek i bielizny. Pułkownik przychodził przeciętnie co 2 tygodnie, czasem częściej i wiem, że Kiernik rozmawiał z pułkownikiem. Kiedy siedziałem z Korfantym, ten mi mówił, że kiedy wyniósł nieczystości i w kuble pozostała słoma, ktoś go uderzył 4-krotnie, gdzie uderzył nie mówił.

Kurs gotowania w Straconce. Staraniem urzędu gminnego, na wniosek p. Domanusowej, przewodniczącej Związku pracy obywatelskiej kobiet w Białej, został urządzony w Straconce kurs gotowania. Po zakończeniu wpisów 4 listopada ub. r. rozpoczęła się praca pod kierownictwem instruktorki p. K. Krauzówne. Kurs ten liczył 35 uczestniczek, które podzieliły się na grupy: ranną i wieczorną. Z początku nauka odbywała się w domu p. Rajniszowej, poczem jednak ze względu na brak miejsca została przeniesiona do miejscowego „Sokoła". Codzień dyktowała p. instruktorka sporządzenie obiadu, co zapisywały uczenice w swoich zeszytach, a poszczególne grupy uczenic sporządzały obiad w sposób podany przez p. instruktorkę. Pan naczelnik Maurer urządził 6 wykładów o hodowli drobiu i pielęgnowaniu drzewek. W dniu 9 listopada 1930 r. zwiedziły uczenice kursu wystawę drobiu w Bielsku pod kierownictwem p. Maurera, który udzielał im objaśnień. Za staraniem p. Domanusowej zostały urządzone 3 wykłady przez p. Dr. Brosównę o higjenie ciała. Po 6 tygodniach pracy postanowiły uczenice zakończyć kurs jak najuroczyściej. Na ten cel urządziły składkę pieniężną. 13 grudnia ub. roku odbyło się zakończenie, na które zeszło się wielu krewnych i znajomych uczenic. Byli także obecni pp.: starosta Strzelbicki, jako przedstawiciel rządu, przewodnicząca Domanusowa, naczelnik stacji Maurer, miejscowy ks. kanonik Kopijasz, naczelnik gminy Chrobak i kierownik szkoły Ktaja. Goście, nim weszli na salę, zwiedzili konkursową wystawę, przy której zwiedzaniu podziwiali prace uczenic. Później przy dźwiękach orkiestry „Sokoła" nastąpiło powitanie gości. Następnie odbyły się: śpiewy, deklamacje uczenic i monolog p. t. „Wiejska kucharka", a wreszcie wspólna wieczerza, przyrządzona przez uczenice kursu. Później uczenice otrzymały dyplomy jako świadectwo ukończenia kursu. Po przemówieniach p. starosty, p. przewodniczącej, ks. kanonika i p. kierownika szkoły i odśpiewaniu Mazurka Dąbrowskiego i Roty, goście zadowoleni rozeszli się do domu. — W imieniu całego kursu składa serdeczne podziękowanie za pracę w tym celu podjętą p. Domanusowej, p. Instruktorce i p. Mauerowi jedna z uczenic kursu.

Krwawy pościg za bandytą. Z Kolbuszowej donoszą o krwawo zakończonym pościgu policji za sprawcą morderstwa rabunkowego na osobie Marji Świdrowej w Rudzie pow. ropczyckiego Antonim Bramaszu. W ubiegłym tygodniu trzech policjantów wpadło na trop bandyty we wsi Przedborzu w powiecie kolbuszowskim. Na widok zbliżających się funkcjonarjuszy policji bandyta, który już nie miał możności ucieczki, wyjął nagle z kieszeni granat ręczny i rzucił go w stronę policjantów, poczem sam zaczął uciekać. Granat eksplodował, raniąc jednego z posterunkowych w rękę. Pomimo to funkcjonarjusze policji nie dali za wygraną, oddając za uciekającym szereg strzałów karabinowych, z których jeden zranił go w prawy bok. Ciężko rannego bandytę odwieziono do szpitala w Rzeszowie.

Tajna gorzelnia pod Lwowem. Posterunek policyjny w Janowie wykrył w gminie Waldorf w domu niejakiego Iwana Iwaśki na szeroką skalę zakrojoną tajną gorzelnię, zaopatrzoną we wszystkie wymagane w tej mierze aparaty i urządzenia techniczne. W chwili wkro-

czenia policji odbywało się pędzenie spirytusu w wielkiej kadzi, w której przygotowany był duży zacier żytni. Iwaśko sprzedawał litr spirytusu po 5 zł. i prowadził księgi, wykazujące duży obrót. Tajną gorzelnię zlikwidowano a jej właściciel został aresztowany.

Oszust w roli pustelnika. Wydział śledczy w Tarnopolu aresztował Franciszka Berezowskiego, lat 65, bez stałego miejsca zamieszkania, analfabetę, który od połowy grudnia 1930 r. przebywając w Tarnopolu, przedstawiał się za pustelnika i z krzyżem w ręku z zamkniętą puszką kwestował przed kościołem i cerkwią w Tarnopolu dobrowolne datki na budowę kościółka w Rożycach na Wołyniu. Przeprowadzone dochodzenia wykazały, że Berezowski nie posiadał żadnego zezwolenia na urządzanie kwesty i zebrane dary zatrzymywał dla siebie. Ponadto stwierdzono, że Berezowski w roku 1925, będąc w Tarnopolu, przedstawił się za braciszka konwentu OO. Franciszkanów w Krakowie i pod tym pretekstem nabrał towary w sklepie Natalji Steinhauslowej w Tarnopolu na kwotę 166 złotych, której dotychczas nie zapłacił. Poszkodowana Steinhauslowa zeznała, że w powyższej sprawie odnosiła się do Zakonu OO. Franciszkanów w Krakowie, skąd otrzymała odpowiedź, że Berezowskiego wogóle nie znają, więc i nie wysyłali go ze swego zakładu. Berezowski przyznał się, że powyższe kwoty zbierał dla siebie, gdyż ma na utrzymaniu żonę Melanję, zamieszkałą w Tłustem, pow. Zaleszczyki, jak również przyznał się do popełnionego oszustwa na szkodę Steinhauslowej. W czasie rewizji znaleziono u Berezowskiego 88 złotych, którą to kwotę wraz z aresztowanym wydział śledczy tarnopolski przesłał do tamtejszego sądu.

Zamało mu było jednej żony. Przeżywamy ciężki okres kryzysu gospodarczego i finansowego. Stosunki te niejednego odstręczają od żeniaczki. Nic dziwnego. Utrzymanie żony w obecnych czasach nakłada obowiązki, którym nie każdy podołać może. Mimo to trafiają się od czasu do czasu ryzykanci, którzy nawet dwukrotnie się żenią. Takim herojem jest Kasper Machowski, lat 24 z Wyżłej, pow. strzyżowskiego, zamieszkały w Stryju. W r. 1927 zawarł ustawowy ślub z Anną Zubrzycką. Małżeństwo mu się wnet sprzykrzyło. Porzucił żonę. Dnia 22 listopada ub. r. ożenił się po raz wtóry z 42-letnią Barbarą Thürman. Ksiądz wahał się z udzieleniem ślubu z uwagi na wielką różnicą wieku. Machowski nie dał sobie wyperswadować i ślub wziął. Obecnie Kasper w celi więziennej przeklina swój los.

Pędzący autobus bez szofera. W Wojkowicach Komornych na Śląsku szofer autobusu z pasażerami wszedł do sklepu, zostawiając motor w ruchu. Nagle autobus ruszył bez kierowcy. Jeden z obecnych wewnątrz autobusu chwycił kierownicę, nie mając jednak pojęcia o kierowaniu, przyspieszył tylko bieg pędzącej na oślep maszyny. W pewnej chwili autobus uderzył w zamkniętą bramę kopalni, wskutek czego wywrócił się, a odłamki stłuczonych szyb raniły kilka osób. Wypadek nie pociągnął za sobą ofiar w ludziach.

Straszne samobójstwo. Na kopalni „Renard“ w Sosnowcu górnik Gurlewicz, lat 60, wskoczył w celu samobójczym do szybu głębokości 250 metrów. Roztrzaskane szczątki nieszczęśliwego zebrano do worka i w ten sposób wywieziono na powierzchnię.

Bunt więźniów. W więzieniu w Koronowie na Pomorzu wybuchł bunt na tle rzekomo złego wiktu. Więzienie w Koronowie jest jednem z największych więzień na Pomorzu i mieści 400 więźniow. Już od kilku dni uskarżali się oni na złe odżywianie i odgrażali się, że nie będą tego dłużej znosić. Wreszcie doszło do awantury z dozorcami. Awanturę tę uśmierzono, ale następnego dnia znów wybuchły zaburzenia w silniejszym stopniu. W czasie rozdawania obiadu, dokonywanego na dziedzińcu więzienia, więźniowie zaczęli krzyczeć i odgrażać się strażnikom i kucharzom Zarząd więzienia przedsięwziął daleko idące środki ostrożności, tak, że wieczór nie wypuszczono już więźniów na dziedziniec. Następnego dnia rano wybuchł formalny bunt. Ze wszystkich stron dały się słyszeć niesamowite okrzyki i wrzaski. Jednocześnie usłyszano brzęk tłuczonych szyb oraz odgłos niszczenia urządzeń więziennych. Dyrekcja więzienia zwróciła się do Bydgoszczy o pomoc. Natychmiast wysłano oddział straży pożarnej oraz 50 posterunkowych. Strażacy po drabinie, przystawionej do muru więziennego, dostawali się do okien poszczególnych cel i oblewali zbuntowanych więźniów strugami zimnej wody. O godz. 3 po południu w więzieniu zapanował zupełny spokój, tak, że straż ogniowa mogła wrócić do Bydgoszczy. Straż więzienna pozostała nadal w ostrem pogotowiu. W całem więzieniu nie ocalała ani jedna szyba. Szkody wyrządzone przez więźniów sięgają kilku tysięcy złotych.

Tragiczny wypadek na polowaniu. W czasie polowania w majątku p. Brzezińskiego pod Tłuszczem (woj warszawskie) wydarzył się tragiczny wypadek. Podinspektor policji Władysław Rogala Zawadzki, naczelnik wydziału II komendy głównej pojechał na polowanie samochodem. Wysiadł on z auta i udał się w głąb lasu wraz z przodownikiem Prążkiem, który szedł za inspektorem. W pewnej chwili przodownik przez nieostrożność spowodował wystrzał z fuzji i wpakował cały nabój inspektorowi w nogę. Inspektor Zawadzki doznał zmiażdżenia obu kości i porażenia nerwów. W stanie ciężkim przewieziono go do szpitala, gdzie będzie prawdopodobnie przeprowadzona amputacja nogi. Insp. Zawadzki na ucięcie nogi jednak zgodzić się nie chce, twierdząc, że silny jego organizm przetrzyma chorobę.

Napad bandycki na dwór. W Śliwnie, powiatu grodziskiego, na dwór dokonano napadu bandyckiego, w chwili gdy właściciel dworu p. Henryk Hildebrand wraz z żoną i dziećmi oraz nauczycielem Górskim siedzieli w pokoju. Do dworu ktoś zadzwonił; drzwi otworzyła kucharka, na progu stali dwaj nieznajomi, którzy odezwali się po niemiecku, że ma ich natychmiast zaprowadzić do właściciela. Gdy kucharka chciała dowiedzieć się od nieznajomych, jaki jest cel ich wizyty, ujrzała rewolwery. W chwilę później bandyci byli już w pokoju Hildebrandów, którym przedstawili się: „Wir sind Banditen und Komunisten aus Berlin“. (Jesteśmy bandytami i komunistami z Berlina), przyczem w rękach mieli rewolwery. Żądamy pieniędzy! — były następne ich słowa. Jakich pieniędzy? — ile? — zapytał p. Hildebrand. 200 zł. — padła odpowiedź. P Hildebrand wyszedł do drugiego pokoju i przyniósł bandytom pieniądze, wręczając im zamiast dwustu — 300 zł. Bandyci byli zadowoleni. Na odchodnem ucałowali rękę pani Hildebrandowej i pożegnali się podaniem ręki z właścicielem i domownikami. Za cztery tygodnie wrócimy i odniesiemy pieniądze — oświadczyli bandyci na odchodnem, ulatniając się. Zawiadomione władze rozpoczęły poszukiwania, które jednak utrudniło przecięcie przewodów telefonicznych przez bandytów.

Skon 115-letniego starca. „Kurjer Wileński“ donosi, że we wsi Hajnówka koło Białowieży zmarł mieszkaniec tej wsi Józef Plutycki w wieku lat 115. Zmarły zostawił 7 dzieci, 55 wnuków, 50 prawnuków i kilku praprawnuków.

Stracenie potwornej trucicielki. W ubiegły wtorek stracono w węgierskiem mieście Szolnok o 7 rano

włościankę Kardos, która otruła arszenikiem swego syna i drugiego męża. Kardos zachowywała się przez cały czas w więzieniu bardzo spokojnie. Przed straceniem odbyła krótką rozmowę z młodym swoim kochankiem, Stefanem Todorem, dla którego dopuściła się morderstw. Plac stracenia na podwórzu więziennem zapełniony był tłumami widzów. Kardos wyprowadzono w szarym stroju więziennym, w czarnej chustce na głowie. Nie mogła iść Musieli ją podtrzymywać strażnicy. Po odczytaniu jej wyroku krzyknęła: „Na miłość boską, zlitujcie się nademną, chcę jeszcze tylko zobaczyć się z moją córką". Kiedy kat założył jej stryczek na szyję, zawołała: „Zakryjcie mi przynajmniej twarz!" Kat zasłonił jej twarz ręką. Egzekucja nastąpiła szybko. Stefan Todor, który przypatrywał się egzekucji, ujrzawszy twarz straconej, uciekł przerażony. Kardos zapisała cały swój majątek synowi swojej siostry. Kochanka Todora wyłączyła z testamentu, ponieważ nie dbał o nią, gdy siedziała w więzieniu

Bunt na Ukrainie. W okręgu Połtawskim utworzył się silny oddział powstańczy, który wydał do ludności odezwę, nawołującą do powstania i zapowiadającą wprowadzenie na Ukrainie dyktatury „kułaków ukraińskich". W kilku miejscowościach spalono komuny rolne. W mieście Kobylaki zamordowano przewodniczącego miejscowego sowietu, Sknara. Zanotowano również kilka napadów na pociągi, na linji Połtawa Kijów.

Osobliwy rodzaj kota. Londyńskie Towarzystwo zoologiczne zakupiło w tych dniach szczególny rodzaj kota złotego, który żyje w Azji. Kot ten dorównuje wielkością domowemu, jedynie osobliwością jego jest sierść bruatno-złota, miejscami śnieżno biała, a miejscami znaczona czarnemi pręgami. Zwierzątko to jest bardzo ładne i spokojne.

Mrozy w Chinach. W Chinach zapanowały straszne mrozy, z powodu których setki ludzi umiera. W Charbinie termometr wykazuje 48 stopni Celsjusza poniżej zera. W Mandżurji wszystkie rzeki zamarzły. Bardzo wiele osób umiera z powodu mrozów w Kalganie oraz w innych miastach prowincji Szansi. Ponad Pekinem przeszła niezwykłej siły burza śnieżna, równocześnie wichura przyniosła masy piasku z pustyni Gobbi. W samym tylko Pekinie od dnia 9 b. m. ponad 100 ludzi zmarzło z powodu mrozu. W Tientsinie policja zabrała z ulic zwłoki 30 osób zamarzniętych. Rzeka Payho w ciągu jednej nocy pokryła się cała lodem, paraliżując cały ruch w porcie, gdzie uwięzionych zostało w okowach lodu dwadzieścia kilka statków. Również w Nankinie zanotowano liczne wypadki śmierci z powodu mrozu. Burze śnieżne szaleją również nad całemi Chinami centralnemi, przyczem wszelka komunikacja uległa zupełnemu zatamowaniu.

Trzęsienie ziemi w Meksyku. Donoszą z Mexico City, że zanotowano tam dwuminutowe trzęsienie ziemi. Było to najsilniejsze trzęsienie ziemi, jakie wydarzyło się w Meksyku od 1911 roku. Ludność w panice spędziła noc pod gołem niebem. Ognisko trzęsienia ziemi znajdowało się w pobliżu miasta Matamoros w stanie Puebla. Silne wstrząsy ziemi odczuto również w Tampico. Skutki trzęsienia ziemi dały się zauważyć na przestrzeni kilkuset mil. W mieście Meksyku rannych jest 25 osób 50 domów uległo zburzeniu. Mieszkańcy klęczą na ulicach, zanosząc błagalne modły do Boga. Wulkan Pop catepetl wznowił swą działalność. Gorąca lawa płynie na przestrzeni 50 kilometrów. Komunikacja telefoniczna została przerwana, brak pozatem światła, linje tramwajowe zostały uszkodzone. W Vera Cruz i całym szeregu miast odczuto również silne trzęsienia ziemi.

Porwanie syna miljardera. W amerykańskiem mieście St. Louis wydarzył się w noc Sylwestrową sensacyjny wypadek porwania syna pewnego miljardera przez murzyna. Porwany został 13 letni Adolf Busch, wnuk słynnego „króla piwa" Buscha. Kiedy chłopak zamierzał udać się samochodem swoich rodziców do znajomych rodziców, wtargnął do samochodu jakiś nieznany murzyn i zmusił szofera do opuszczenia wozu, zagroziwszy mu rewolwerem. Potem sam chwycił kierownicę w swoje ręce i puściwszy samochód w szybki bieg, znikł w ciemnościach. Samochód znaleziono później ale pusty. Murzyn znikł z chłopcem. Przypuszczają, że napastnik miał kilku pomocników, którzy ułatwili mu ucieczkę, Policja przypuszcza, że napastnicy zażądają wkrótce od rodziców wysokiego okupu za wydanie chłopca.

Załamanie się trybuny. Koszary 168 pułku piechoty amerykańskiej w Broocklynie były terenem strasznego wypadku w czasie zawodów sportowych. Trybuna, na której znajdowało się tysiąc osób, załamała się — wskutek czego 150 osób odniosło lżejsze lub cięższe rany.

Lew porywający dziecko. W Ameryce (w Ohio) zdarzył się podczas przedstawienia w pewnym wędrownym teatrze niezwykły wypadek, którego ofiarą padła kilkuletnia dziewczynka.



Lew, z którym pokazywano różne dziwne sztuki, skoczył nagle między przypatrującą się publiczność, porwał z pośród niej dziewczynkę i poniósł na scenę. Dziecko doznało silnych obrażeń, zanim pogromca i dozorcy zdołali je wyrwać z pazurów strasznego zwierza.

Szkielet zwierzęcia przedpotopowego. Donoszą z Chicago: Pod miasteczkiem Gosem w stanie Indjana, wykopano szkielet przedpotopowego zwierzęcia, mający 50 stóp długości. Zęby owego zwierzęcia, ważą po 8 funtów każdy.

Oryginalna obrona. Zupełnie niezwykła scena rozegrała się ostatnio w katedrze nowojorskiej. Bohaterem jej był znany powieściopisarz B Lindsey, autor książki p t „Małżeństwo przyjaźni". Podczas jednego z niedzielnych nabożeństw w protestanckiej katedrze w Nowym Jorku w obecności 4 000 osób Lindsey, przerywając księdzu kazanie, wskoczył na stół i zapowiedział, że jego kazanie będzie ciekawsze, albowiem ma zamiar wypowiedzieć obronę swej książki, ostro skrytykowanej przez biskupa Meningsa. Publiczność nie dała mu dokończyć przemowy i służba kościelna wyrzuciła literata poza obręb kościoła przy akompanjamencie głośnych okrzyków tłumu. Doszło nawet do małej bójki tak, iż niefortunny autor musiał się schronić pod opiekę policji.

Numera początkowe posiadamy w zapasie. Można zamawiać w sklepach, w których Czytelnicy „Rolę" kupują lub w Administracji „Roli" nadsyłając w liście znaczki pocztowe po 30 gr. za numer.

RZECZY CIEKAWE.

Największy dziennik świata.

Największą gazetą na świecie jest zapewne amerykański „New York Times“. Wspomniany dziennik, który jest w Stanach Zjednoczonych najpoczytniejszym, zatrudnia w samej swej drukarni 2.000 sił, w redakcji zaś i administracji — około 1500 współpracowników. W ubiegłym roku wypłaciło pismo 176 miljonów dolarów tytułem pensyj, a same wydatki pocztowe wyniosły 800 miljonów dolarów. „New York Times“ otrzymuje dziennie drogą telegraficzną 100.000 słów i przeprowadza 8.000 rozmów telefonicznych, oraz wysyła dziennie 7 tysięcy listów. Pismo to obliczone jest na amerykańskich czytelników: zamieszcza jaknajmniej polityki, jaknajwięcej rzeczy ciekawych i wiadomości, dotyczących spraw gospodarki narodowej. A u nas? U nas są redakcje, składające się z jednego człowieka, a nawet redakcje i administracje najpoczytniejszych gazet nie dochodzą do 100 osób.

Miłość i zaloty w dawnej Polsce.

Ze średniowiecznego zamknięcia powoli wydobywała się kobieta polska na szerszy świat. W XVI wieku już częściej bierze udział w zebraniach towarzyskich, zwłaszcza w tańcach, o ile je nie wypędzi silne jeszcze prostactwo i pijaństwo szlachty. Ale wykształcenia nie posiada. Lepiej będzie już w XVII wieku, kiedy obniży się stopień wykształcenia męskiego. Wtedy przyrodzone wartości kobiece pójdą w górę.

Mimo to w XVI wieku wykwitła w literaturze teorja miłości. Szukać jej należy głównie w „Dworzaninie“ Górnickiego, gdzie o świętych tajemnicach miłości rozprawiają; po części w poezji Kochanowskiego, w rytmach Sępa Szarzyńskiego.

Miłość — powiada Górnicki — to „pożądanie piękności“. Dusza, która posiada cząstkę piękności — dobroci, płynącej od Boga, rzuca swój blask na ciało, w którem mieszka, zwłaszcza jeśli ciało to „nie jest z tak grubej a podłej materji, iżby dusza na nim wyrazić swego wzoru nie mogła“. Przeto kochać trzeba nie to, co nie jest „przyczyną a początkiem onej cudności“, ale tę oderwaną od ciała piękności „samą w swej istotności“. Ponieważ piękność a ciało to są różne rzeczy, więc miłość ku ciału należy przy pomocy rozumu odjąć od ciała a skierować „ku samej szczerej piękności, formując onę w swej głowie tak bez ciała, jako od Boga pochodzi“.

Ciało kocha rzeczy cielesne, duszy jednak to nie zadowala, bo celem jej miłości jest „wieczna piękność“: Bóg.

A więc miłość wysoce idealna. Oczywiście taka była ona tylko w literaturze i to nie zawsze. W praktyce leżała bliżej ziemi i zdążała do ołtarza, coprawda nie najkrótszą drogą.

Długotrwałe nieraz zaloty poprzedzały „oględy“. Konkurent musiał się dać poznać, podobać, okazać „rzeczy“ i w swoim własnym interesie poznać pannę. Oględy to właściwie pozwolenie starszych na bywanie w domu, po zyskaniu wzajemności lub przynajmniej sympatji panny.

Następowały zaloty, które nazywano też „następowaniem za trzewik“. Termin ten, znany już pannie ze „Sobótki“ Kochanowskiego, która się dziwi: „za trzewik nie następuje, a powiada, że „miłuje“. Tego staropolskiego wyrażenia używał jeszcze król Sobieski.

W czasie ubiegania się o rękę przestrzegano skromności, taktu i spokoju. Obowiązywały tu zasady, ujęte w lapidarne przysłowie: „Zaloty głosem, siane w deszcz, zwada po pijanemu — nigdy z pożytkiem“.

Do wyrażenia rekuzy używano form symbolicznych. Podawano kawalerowi potrawę w czarnym sosie lub czerninę z gęsi, w pokoju podrzucano mu lub zaczepiano u jego pojazdu grochowy wieniec, symbol jałowości. Panna, niby przez pomyłkę, podawała zamiast chleba dynię, na Ukrainie harbuz. Na Żmudzi używano do tego potrawy, zwanej „szupienie“. Był to groch lub kasza jęczmienna, gotowana ze słoniną, ozdobioną natkanemi w nią wieprzowemi ogonkami. Czasem zalotnik dla okazania zręczności musiał w powietrzu rozebrać zgrabnie kapłona. Gdzie mu byli radzi, tam w różny sposób egzamin ułatwiano, gdzie się go chciano pozbyć, tam dawano i nóż tępy i koguta twardego.

Przy sprzyjających wszelkich okolicznościach rozpoczynał kawaler do panny „przystawać“, nie szczędząc darów, które nazywano „zalotnem“. Kładł na łóżku ukochanej świeżo spleciony wieniec. I naodwrót dla miłego gościa wito wieńce różane. Stąd przysłowie „stanął na różany wieniec“, na wyrażenie, że ktoś swem przybyciem sprawił komuś rzetelną radość.

Niełatwo jednak można się było dostać do sypialni dziewiczej i rzucić na łóżko wieniec miłości. Poprzestawano tedy na zawieszeniu go na drzwiach, czy u klamki. „Ty śpisz, a ja sam na dworze. Jeszcze od wieczornej zorze... Dobranoc, jeśli kto słyszy. A mój wieniec w tej złej ciszy. Niechaj wisi do świtania, Świadek mego niewyspania...“ (Kochanowski).

Czasem posyłał kawaler pannie jabłek. Wogóle ofiarowywano, co kto mógł. Starano się nawet o oryginalność. Pan Pasek (1660) obdarzył Teresę Krosnowską nawet... trzewikami drewnianemi z zamorskich krajów.

Panienki również dawały zakłady swej życzliwej chęci, czy to konterfekt własny, czy chustkę własnoręcznie haftowaną, czy manele z włosów swoich.

Rola dziewcząt była w okresie zalotów naogół bierna, bo wyboru męża dla nich dokonywali rodzice. „Nie służy sprzeciwiać się temu, któremu cię ojciec podaje w małżeństwo. Sam ojciec z matką, którym winnaś posłuszeństwo. Panieństwo nie wszystko twe... Lecz mają i rodzice po części do niego...“ (Kochanowski).

Wola tedy rodziców rozstrzygała najczęściej. Wola kobiety w wyborze męża miała znaczenie o tyle, o ile się zgadzała z wolą krewnych. Tylko wyjątkowo przyznawano jej znaczenie rozstrzygające, nawet wbrew woli krewnych. Panny stawały się nieraz przedmiotem rozmaitych transakcyj, albo ofiarami rodzicielskiego despotyzmu.

Kochające się pary umiały już wówczas uniknąć kontroli rodzicielskiej, posługując się choćby takiemi środkami, jak pismo tajemne i coś w rodzaju atramentu sympatycznego, sporządzonego według gospodarskiej recepty: „Niech pisze inny mlekiem albo krwawej sokiem cebule i czyta ją, przypalając, okiem...“

Kochanowski mówi, że gdzie panna bogata i gładka, „Często tam zaglądają udatni młodzieńce. Ale gdzie zaś szpetulka i posag ubogi, Rdza klamkę zje i chwastem zarastają progi". Zaznaczono w tym wierszu czynnik często rozstrzygający: posażność.

Ideał panny na wydaniu tak sobie wyobrażali dawni Polacy:

„Nie bystre oko, nie rozrzutna mowa,
Uczciwa w oczach, jako anioł prawy,
Posłuszna, gdy co każe starsza głowa,
Nie umizga się, nie stroi postawy,
Stateczny umysł, skutku pełne słowa..."
(Kochanowski).

Po długich zalotach następowały oświadczyny, będące raczej formalnością, kończącą zaloty, bo niepożądanych usuwano wczas znanym już sposobem.

Zazwyczaj młodzi nie potrzebowali się trudzić, bo w deklaracjach wyręczali ich krewni lub „somsiad" życzliwy. Oni to załatwiali wszelkie formalności ku pożytkowi obu domów, ściśle sercowe sprawy pozostawiając młodym. Dziewosłębami zwano te obrzędy.

Następowały intercyzy, kontrakty ślubne i wogóle układy, zwane „aktami weselnemi" lub „punktami", potem ślub.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Włodzimierz G. i Stanisław S.:** Wierszyk p. t. „Tęsknota" zupełnie dobry i ten przeznaczamy do druku; w wierszu „Sierota", również zupełnie poprawnie napisanym, nie rozumiemy zdania: „Wśród bieli śniegu ja Twą hostję białą", przezco i cały wiersz traci na wartości; obrazek „Modlitwa" stylistycznie zupełnie dobry, ale jest to drobiazg sam dla siebie bez znaczenia. — **Włodzimierz Jacyszyn** w K.: Artykuł „Ucieczka przed życiem" bardzo dobrze napisany i na czasie, ale w kilku miejscach nie możemy zupełnie słów odcyfrować. — **Władek z Nockowy:** Wierszyk „Pożegnanie" posiada myśl ładną i niektóre zwroty wcale dobre, ale całość utyka z powodu braku rymów. — **Józef Górecki** w K.: Przestawianki zupełnie dobre, idą więc do teczki do rzeczy, przeznaczonych do druku. — **Emil Franciszek Herman:** Za tak miłe dla nas słowa uznania serdecznie dziękujemy. Pragnęlibyśmy, aby wszyscy Czytelnicy byli z „Roli" jak najbardziej zadowoleni. Wierszyk i zagadki zupełnie dobre. — **Bogdan Jeżowski** w L.: Wierszyki dobre, przeznaczamy je więc do druku. Kiedy jednak ukażą się w „Roli", trudno nam oznaczyć, gdyż wierszy mamy wielki zapas w tece. — **Stanisława Kozikówna** w N.: Twierdzą starzy ludzie, że wszystkie Stasie to miłe i ładne dziewczątka; wierzymy więc na słowo, że i Pani urody nie brak. A dlaczego Pani nie wychodzi zamąż, to odpowiedzieć nietrudno. W dzisiejszych zmaterjalizowanych czasach kawalerzy wolą byle jakiego tłumoka, gdy tylko posiada majątek, aniżeli urodę, dobre wychowanie i rozum. Żenią się więc tak, że w jednym tygodniu ślub, w drugim żal z powodu popełnionego głupstwa, a w trzecim bijatyki i obraza Boska. Ale niech się Pani nie trapi, bo podobno w niebie wszystkie panienki są ogromnie umiłowane, jako istoty czyste i bez skazy. — **Karol Kargul** w N.: Owszem, węzę od p. Radomskiego z Klewania sprowadziłem i jestem z niej bardzo zadowolony. Jest ona znacznie tańsza niż gdzieindziej. — **Pulchny Walenty** w G.: Prenumerata nadeszła, dziękujemy i wzajemnie pozdrawiamy. — **Józef Drąg** w R.: Fabryka owa znajduje się przy ulicy Sławkowskiej w Krakowie. — **Józef Fornal** w C.: Niech się Pan zwróci do firmy J. A. Nikiel, Kraków, ul. Szewska 2, to Panu wystroją albo wskażą, gdzieby Panu harmonję zreperowali. Załączyć znaczek na odpowiedź. — **Kula Wincenty** w M. K.: Na rocznik 1930 wysłaliśmy Panu czek wypełniony. — **Ludwik Krzempek** w Z.: Za tak miłe słowa uznania i życzenia serdecznie dziękujemy. — **Krzyk Ignacy** w Ż.: O ten brakujący numer napiszemy jeszcze do Lwowa do jednego z prenumeratorów, który od nas swego czasu nabył wiele przedwojennych numerów „Roli".

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Część karabinu.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Mąż biblijny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Przyroda inaczej.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Państwo europejskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Władca.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Strzelby (wspak).
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Szlachetny kamień.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto polskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptaszek.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto historyczne.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie (żyd.).
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Wyspa koło Indji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Pokój na okręcie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Nakrycie głowy bisk.

Litery początkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko człowieka na wysokiem stanowisku.

2. Szarady.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

I.

Pierwsze drugie ułuda, zaś trzecie dźwięk [znaczy,
Druga pierwsza ozdoba dzieł sztuki inaczej.
Coś jakby zapisek wstecz trzecia pół drugiej,
Wstecz druga pół pierwszej znów nazwa [papugi.
Całość miejscowość w Grecji, albo powieść [znana.
Przez śmierć bohaterów, od ręki tyrana.

II.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

Pierwsze nie jest całość
Drugie masz literę,
Na całości stawiasz
Rzeczy bardzo wiele.

III.

Pierwsze wspak — okres czasu,
Roślina wspak drugie,
Całość imię męskie,
Które nie jest długie.

IV.

(Ułożył Jan Gara z W.).

Wprost drugie, wspak pierwsze
Gasi pragnienie największe,
Trzecie czwarte żywot skraca
A po miastach się obraca.
Całość ludzkie broni sprawy
I łagodzi wyrok krwawy.

3. Łamigłówka.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

Niecnota, otręby, baon, Szymon, kaczka wędka, anons, kościół, śliwa, Maciek, dzwon, śpiew, dom, woda, klucz, kości, cisza.

Z każdego z powyższych słów wybrać dwie obok siebie stojące litery i złożyć z nich znane przysłowie.

4. Bilet wizytowy.

Szymon Okleisty
Jawa

Odgadnąć zawód tej osoby.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 30 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 2 „Roli": 1. Logogryf: Stanisław Wyspiański. 2. Zagadki: I. Litera „k". II. Litera „s". 3. Szarady: Bramaputra. 4. Konikówka: „Śmierć za swobodne życie stokroć jest lepsza, niż podłe życie w niewoli". 5. Drobna szarada: Łaska-skała.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Władysław Gąsienica z Z., Józef Lose z M. K., Andrzej Sołtys z Ł., Adolf Roman z Ł., Marja Woźniakiewicz z G., Józef Górecki z K., Jan Smaza z Z., Wł. Sowiźrał z J., Ludwik Gołąb z K., Piotr Tylec z K., Walenty Pulchny z G., Kula Wincenty z M. K., Andrzej Janikowski z G.

Nagrody wylosowali pp.: Józef Lose z M. K. i Jan Smaza z Z.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.